



WOŁYŃ

JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI

WIECZORY WOLYŃSKIE

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

**WIECZORY
WOŁYŃSKIE**



INSTYTUT BADAŃ KOŚCIELNYCH W ŁUCKU

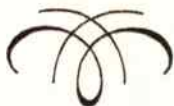
ІНСТИТУТ ЦЕРКОВНИХ ДОСЛІДЖЕНЬ У ЛУЦЬКУ

BIBLIOTEKA „WOŁANIA Z WOŁYNIA”

T. 95

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

WIECZORY WOŁYŃSKIE



„WOŁANIE Z WOŁYNIA”
BIAŁY DUNAJEC–OSTRÓG 2015

© Copyright by Józef Ignacy Kraszewski, 1859

Redaktor serii
Ks. Witold-Yosif Kovaliv

Opracował i przypisami opatrzył
Ks. Witold-Yosif Kovaliv



Publikacja niniejsza oparta
jest na I wydaniu – Lwów 1859.
Została także zachowana pisownia z I wydania.

ISBN 978-83-88863-72-X

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skrytka pocztowa 9
34-520 Poronin, Polska

~~~~~  
“Воляння з Волині”  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна



Drukarnia Akcydensowa  
orosz Andrzej  
✧ Wydawnictwo ✧  
Tel. 787-630-035 – Kraków

## I.

Cisza wieczorna i ta pora dnia na wsi mają w sobie coś niewysłowienie uroczego... Nie tylko człowiek, zwierzęta nawet zdają się czuć ten moment uroczysty pożegnania ze światłem i słońcem. Nadchodząca ciemność przeraża i zasmuca jakby przypominała nieprzespaną noc w której tonie pamięć po za nami, a przecucie, w straszliwej przyszłości. Ale pomimo smutku jakim napawa i niepokoju którym karmi, chwila ta przynosi z sobą słodką jakąś tęsknotę. Człowiek, najmniej przywykły do dumania, zamyśla się, wzdycha i tysiące drobno-stek przywodzi mu na pamięć wszystkie wieczory jego życia, za niemi całe życie prawie.

Wstają upiorem z mogiły dnie jasne i czarne, nadzieje, porwy, zawody, rozstania chwilowe i wiekuiste, spotkania po latach wielu i wszystko co się straciło. A któż strat nie ma w torebce, którą na zbolałych nosi barkach?

Młodość co już żałuje, ma jeszcze spodziewać się czego; starość jeżeli marzy, to chyba o innym a lepszym świecie.

Któż z was nie przedumał wieczora na wsi i nie przypomni sobie wrażeń własnych na widok natury, co się do snu jak dziecię spokojnie układa, gdy biedny człowiek sam jeden z niepokojem w duszy, potrzebuje zapłakać, pomodlić się, znużyć aby mu sen zamknął wymęczone powieki.

Ma życie tajemnicze pociechy swoje w samych boleściach nieuleczonych i tęsknocie na którą wieczyście choruje. Łza jest rozkoszą, zbytek ciężaru ulgę sprawia swym nadmiarem. Czujemy w nim zwiastowanie przesilenia i obietnicę spoczynku.

Nie wiem zaprawdę dla czego, ale wieczór ze wszystkich pór dnia zdaje mi się najprzyjemniejszą. Jest to chwila uspokojenia, wytchnienia, zwrócenia w siebie, i policzywszy chwile każdego życia szczęśliwe, najwięcej by się między niemi znalazło wieczorów. Umysł podbudzony walką i pracą dnia, rzeświejszy jest i ochotniejszy niż rano, a nie tak zastygłe serce z jakim wstajemy z nocy; fantazja rozwija skrzydła, pamięć nawet do głębi poruszona żywiej się krząta, wynosząc z komórek co skrzętnie sobie uzbierała.

Człowiek wcale nie jest jednakim z końca w koniec dnia nawet! Każda godzina barwę mu swoją daje, każda chwila nań wpływa. – Ja go lubię najlepiej wieczorem, a często mi się trafiało poznanych w tej porze, nazajutrz rano spotkać tak odmiennych, żem musiał nocy czekać, by ich sobie wytłumaczyć.

Wieczorami też najczęściej zbieraliśmy się i zbieramy z towarzyszami i przyjaciółmi na słodkie, powolne lub żywe wedle usposobienia rozmowy długie, w których najgorętsze nieraz zagadnienia chwili na stół wychodziły. I czy to zasiedliśmy na ganku w Gródku lub Hubinie, czy w ogródku Żytomierskiego domu, czyśmy chodzili po bulwarach Wileńskich... ileż to wspomnień z tych przechadzek i rozkosznych umysłowych zabaw naszych!...

Niestety! Z towarzyszków serdecznych, z współników tych zabaw niewinnych, iluż już w grobie, za ilu się modlemy, przymuszeni myślą szukać ich po za światem... Z przyjaciół Wileńskich mało pozostało na świecie, a i tych los rozprószył, i spotkawszy się czybyśmy się poznali, czy by przystały do siebie dłonie, serca? Jak dwie gęśle, nastrojone jednakowo, któreby przepodróżowały ze śpiewakiem długo i daleko, a zeszyły się po latach wielu, podobno by i serca inaczej dziś w każdym zagrały. Jednym ścisnęły je chłody, drugim wysuszyły gorąca, rozmiękczyły lzy, stwardniło życie, i dźwięk ich już dziś cale inny...

Powiernicy młodości spoważnieli i śmieją się z dawnych baśni, z drogich tych dzieciństw maluczkich, których pamięci późniejsze nie zacierają czyny i dumne zamiary. Gdzieżeście dawni przyjaciele?

Z tych z którymi tak mile w ogródku Gródeckim spędzałem wieczory, ś. p. Ignacy Hołowiński spoczywa w wilgotnej ziemi nad Newą, poczciwy Justyn Majewski na górzystym cmentarzu w Dubnie, nieodżałowany Kazimierz Komornicki przy kościółku w Tajkurach... nie chcę już liczyć ich więcej.

Długi to szereg całunowych gości przesunął mi się przed oczyma! Niechże ich pamięci poświęcone będą te karty, z których wiele przypomni rozmowy jakieśmy dawniej prowadzili z sobą: z tobą czcigodny hr. Stanisławie Chołoniewski, Alexandre Wicherski, z wami poczciwi druhowie moi których tu imion nie wymienię, bo was dalekie przysypały mogiły, i świat zapomniał, i swoi się zaparli.

Pamiętnemi wszakże słowa wasze, myśli, zdania, i walki jakieśmy nieraz zwodzili z sobą, w dobrej wierze, łagodnie bojując o prawdę, nie o zwycięstwo dla miłości własnej.

Nieraz wśród tych rozpraw wcisnęło się wspomnienie, opis przejazdu, rys charakteru, tak jak w tej książce wmiesza się może coś z życia, doświadczenia i pamiątek. Natchniona żalem za przyjaciółmi smutną ona być musi, ale któż dziś wesołym być może?



## II.

### Rysy Wołyńia.

Piękna to kraina ten nasz Wołyń rozległy, z jednej strony o Bug, z drugiej o brzegi Teterowa oparty, graniczący z Rusią halicką i błotami a lasami Mińszczyzny; gdzieindziej stałoby go na wielkie księstwo udzielne, a pan Bóg niczego tu nie skąpił by sobie wystarczyć potrafiło. Spławne rzeki, ogromne lasy, łąny urodzajne, kamień, węgiel, mamy pod ręką, wszystko czego dusza a raczej czego ciało zapragnąć może. Nawet pamiątek uroczystych tego nieopłaconego klejnotu, więcej u nas niż w prowincjach sąsiednich, zamczysk, mogił, podań, prastarych siekier kamiennych i świeżych jeszcze ledwie z krwi oschłych grobowisk. Na Boga! czego tu nie ma! dzieje świetne, przeszłość wspaniała, chleb, poezja, nie zbywa na niczem! Jest tu i step w minjaturze, i góry kto je lubi, i puszcze, i błota, i pole sie straszliwe, i piaski z wydmami, i czarnoziem podolski, jednym słowem co kto zapragnie, co sobie kto wybierze. Kraj cały malowniczy i urozmaicony, a ludność nawet zbiegła się tu ze wszystkich świata krańców aby na niczem nam nie zbywało.

Oprócz wołyńiaków właściwych, mamy tu i osady Mazurów, i wsie całe starowierców ruskich, i kolonje niemieckie, i żydowskie wioski, i Tatarów, i Karaimów. Żywiół miejscowy naturalnie przeważa, ale może nie bez wpływu na ludność ogólną jest ta mieszanina ras i pokoleń. Są podania o całych wioskach niegdyś Tatarami zasiedlonych, później wsiątkłych,

w Ruś naszą, potwierdzające się rysami mieszkańców do dziś dnia.

I tak jak niegdyś chwaliło się Wilno że w niem niedzielę chrześciance, sobotę żydzi, a piątek mahometanie święcili, my także powiedzieć możemy, że te trzy dni obchodzimy. Fizjognomja kraju jakeśmy wspomnieli, najdziwniej urozmaiconą... W Kowelskiem, w Owrukiem płaszczyny, lasy, trzęsawiska, błota, równiny, kraj mało urodzajny, smutny, ale nie bez wdzięku; w pośrodku, koło Łucka, Dubna, Ostroga kraj wzgórkowaty, wesoły, żyzny, przecięty laskami, ożywiony wodami, najeżony mogiłami i zamkami; dalej pod Krzemieńcem góry malownicze, a nad Teterowem i Słuczą skały wśród zieleni granitowe posępne, w ogromnych leżą ławach.

Nigdzie nie brak wody, rzek, rzeczulek, jezior i stawów nad których brzegami siedzą sioła i miasteczka. Samym opisem Wołynia pod względem jego charakterystyki i malowniczości nie wiem wiele stron moglibyśmy zapełnić, lecz jeden pociąg ołówka lepiej by to wyraził nad długi szereg słów chłodnych. A co wspomnień wszędzie! co dziejów, i co przyłgłego do ruin życia! Począwszy od tej historij nierozplątanej czasów zamierzonych której pierwszym badaczem był Jan Potocki, aż do wspomnień czasów których żywym świadkiem i historjografem był Ochocki – co pamiątek, i jakie niewyczerpane skarby zażytków! Jest z czego snuć pieśń, legendę, powieść, dzieje, pamiętnik, obrazy i posągi.

Nad Włodzimierzem i Łuckiem Wojsiełkowe, Lubartowe, Świdrygiełłowe i Witoldowe ulatują imiona; nad Czartoryjskiem historia domu książęcego nad Krzemieńcem imię Bony i Czackiego; w Ostrogu cała rodzina książąt króluje jeszcze; w Korcu pełne groby mężnych Koreckich; w Wiśniowcu Korybutów i Mniszchów ledwie się ścierają nazwiska, a co rodzin

zgasłych ztąd wyszło, ilu mężów, ilu wodzów, ile sławy i ofiar!... któż to policzy...

Kolebką bohaterów możnaby nazwać te ziemię która zniwem wielkiem wysilona, dziś, niestety! rodzić przestała. I nie krwi nam zabrakło z której szli mężowie wielcy, ale Bóg odwrócił oczy i skazał na ten spoczynek samotny... Kto wie za co? może za nieposzanowanie dziejów, może za nieposłuszeństwo natchnienia jego, może za bluźnierstwo Niemirycza, może za gorszą jeszcze zdradę tych co z krwi naszej pochodząc, ducha się naszego zaparli.

Dosyć że zamki leżą w ruinach, w gruzach kościoły, w zapomnieniu cmentarze i cnoty stare, a my na pobojowisku wieków uśmiechnięci, szwargocząc po francusku, lornetujemy tylko z daleka przeszłość naszą, nieśmiejąc się jej dotknąć, aby glansowanych nie powalać rękawiczek.

Szczęśliwy i biedny kraj zaprawdę! bogaty we wszystko co Bóg dać mógł, jeno mu ochoty do życia brakuje. Surowo obe szły się z nim losy, ale też on sam nielitościwym dziś sobie.

Pozostaliśmy daleko od wszystkich, i wlecemy się ledwie powoli śladami odradzającego się życia; jakaś gnuśność ścisnęła nam serce, obojętność zmroziła uczucia, szyderstwo zatręło zapal wszelki, i tak poglądamy na wczoraj i jutro, jakby jedno ni drugie do nas nie należały.

Ale o ludziach później, teraz tylko o kraju mówić mamy. Żaden łącniej nie mógł natchnąć artysty; przecież my ich mamy najmniej, i wyjąwszy jednego Sosnowskiego który wprawdzie za wielu starczy, nie wiem kim byśmy się pochlubili. Ukraina ma całą szkołę poetów, my i jednego dotąd nieurodziliśmy sobie naszego własnego, choć zaprawdę poezja po gościńcach się wala. Tam żywioł ludowy natchnął śpiewaków, tu by był powinien szlachecki lub pański.... Nie brak nam pisarzy, ale ci nie noszą piętna kraju który ich urodził, i wołyńskimi nazwać

się nie mogą. Ziemia żyzna i położenie handlowe, sąsiedztwo królestwa i Galicji w których rolnictwo znacznie się ostatniemi czasy udoskonaliło, powinny były wywołać poprawę gospodarstwa, i tej jednak nie widzimy. Usiłowania są częstkowe, drobne, nie mają ciągu, a ogół tak gospodarzy jeszcze, jak za czasów gdy Starowolski nas opisywał, gdy Rzączyński żyzność tej krainy zalecał.

Nie miałbym tego wcale za złe, gdyby obojętność na grosz towarzyszyła zaniedbaniu, a praca i usilność gdzieindziej się zwracały; ale ten brak życia jest we wszystkich życia sferach.

Tak samo handel oddaliśmy dobrowolnie w ręce żydowskie, tak samo mało obchodzi nas byt społeczny i jego przyszłość. Wszyscy żyjemy sobie, i troszczym się tylko o najbliższe jutro. Tymczasem trochę starania i poświęcenia, prowincja ta łącno by do najświetniej rozwijających się policzyć mogła. Są środki, czekają one tylko na wolę któraby je w ruch wprawiła.

Chcąc bliżej zapoznać nas samych i obcych z tym Wołyniem, który dziś tak twardym snem usypia przebiegnę z wami kraj ten od granicy królestwa do brzegu kijowskiego, środkiem najpiękniejszym i z dawna najliczniej zamieszkanym.

Prawie od samego Bugu, wjeżdżając od Ujścia rzeki Ługu do niego, z wyjątkiem małych kawałków piaszczystych, ziemia się poczyna dziwnie żyzna i pod pszenicę stworzona. Wzgórzów nie wiele, równiny stoczyste, gajami i gdzieniegdzie pięknymi lasami towaremi przecięte, położenie wdzięczne. Pierwszem miasteczkiem które się ukazuje na samej granicy, jest nędzny dosyć Uściług, jeden z portów najznacniejszych na Bugu, do którego krocie fur ze zbożem dążą niemal przez rok cały, w którym obracają się miljony, nie mający przecie ani dobrych magazynów zbożowych, ani porządniejszych domów, ani pozor zamożnego. W dodatku pali się co roku i coraz lichszy odradza z popiołów.

Wielki gościniec, wiodący przezeń do królestwa, przystań znaczniejszej części handlu zbożowego Wołynia, powinny go były uczynić ogniskiem handlowem i wpływając na podniesienie jego; tymczasem jest to jedna z najbiedniejszych mięścin w okolicy. Ruiny pałacu na górze, widno z promu który podróżnych przewozi, i mury po-kapucyńskiego kościołka, oto w nim jedyne zabytki lepszego stanu. Wpośrodku dawna komora i parę murowanych domów, ot i wszystko. Drewniane kramiki, drewniane niewygodne karczmy, chatki i klecie żydowskie składają resztę mięściny, władającej przecie targiem zbożowym ogromnej prowincji. Jest to do pojęcia trudnem lecz prawdziwem; a nie wiemy nawet czemu to przypisać. Po daleko porządniejszych miasteczkach królestwa przyjeżdżający tu podróżny, z trudnością pojąc może czemu ma przyznać to opuszczenie i ubóstwo, a raczej niedbalstwo w oczy bijące. Ale to zwiastun stanu, w jakim cała niemal zostaje prowincja, w której wszędzie spotykamy siady przeszłości żywej, a terażniejszości obumarłej.

Zaledwie o wiorst kilkanaście odległy stary gród Włodzimierz, pamiętny zabiciem Wojsielka, wystawia tylko ogromne ruiny, a wśród nich najlichsze miasteczko drewniane, pobudowane na prędcie i bez starania, niedbale... Jest to przecie, mijając historyczne miasta znaczenie, stolica powiatu, niegdyś jeden z najważniejszych grodów, dziś w zupełnym upadku. Dziwnie tu odbijają te massy murów wspaniałych, ogołoconych z dachów, sterczące wysoko przy drobnych kielkach w których zamieszkało nowe pokolenie, czy nie dbając o jutro, czy w jutro nie wierząc. Tu poczyna się już wrażenie którem karmi cały nasz Wołyń prawie zasmucone oczy przejeżdżającego: gruzy, zwaliska, rumowiska, ruiny, a na nich ubogie ledwie lepianki. Przez te opustoszone mury dmie wiatr zniszczenia na wylot, porasta je zielsko i trawa, gdzieniegdzie błyszczą w nich okien-

ko, zwiastujące że tam ktoś mieszka, ale nad głową jego nie ma dachu, a z pod nóg wydarto podłogi. O pamiątki nie pytaj, rzadko się ich dowiesz od przybysza który ich nie badał, a jutro powędruje dalej obojętnie.

Kogo tu Stepankowickie konie z królestwa do Uściługu odwiozły, a pocztą puścił się na Wołyń, musi jeszcze przebyć czyścić w Uściługu na stacji pocztowej pogranicznej, na której czeka go spisek zwyczajny by go obedrzeć. Poczta tutejsza najniegodziwiej utrzymana sławi się tem, że najbezwstydniej zdiera każdego przybywającego, a furmani w miasteczku, będący z nią w zмовie, niedozwalają wyszukać innych środków wydobyć się z tej jamy, z której wyjechać nie przepłaciwszy się żydom niepodobna. Bywały wypadki że podróżni stali tu po dni kilka i w końcu zaciętym starozakonnym haracz należący uiścić musieli.

Z Włodzimierza do Łucka po nad gościńcem przejeżdżają się kraj miernie urodzajny, wzgórkowaty, lesisty, ale z niego nie można sądzić o tej stronie Wołynia. Ziemia z obu boków wielkiej drogi daleko jest żyźniejsza od próbek które się tu spotykają. W stronie także pozostają stare sadyby tutejsze: Zimne z starożytną cerkwią, Sielec Czackich, Poryck, niegdy dziedzictwo Tadeusza... Sam trakt ciągnie się mało zaludnionym krajem, i kilka tylko karczem, rozsianych nad nim, przerywa jego monotonię.

Zajazdy te małemi wyjątkami są bardzo liche, niepozorne i niewygodne. Przed Torczynem napotykamy wieś jedną z mурowaną austerją i starym kościołkiem, w której widać na boku dom dawny nieco porządniejszy\*); dalej przyjeżdżamy do samego miasteczka tak lichego jeśli nie uboższego niż poprzedzające.

---

\*) Zaturce.

Nigdzie nawet chciwość zarobku nie zastawiła sideł na podróźnych. Porządniejszego przyporzyska, karczmy, traktjerni nie znajdziesz...

Jeszcze lasów trochę, i oto już w dolinie nad Stérem, widnieją mury Łucka bardzo wspaniałe z daleka, kopuły białe katedralnego kościoła, wieżyca dominikańska, brama wjazdowa zamku. Miasto rozciąga się na dosyć znacznej przestrzeni, i nieznanemu go przedstawia się czemś daleko większem niżeli jest w istocie. Ale w miarę zbliżania się ku niemu złudzenie znika powoli... wyjąwszy jednej katedry, reszta pustki i składy, nie ma dzwonów w dzwonicach i nabożeństwa w tych kościołach... Pożar pookopcał mury, deszcze je zgnoiły, ręka ludzka powoli wyszczerbia.

Zacząwszy od oddaleńszego końca, dawny Bernardyński kościół zamknięty i rzadko się w nim odprawia nabożeństwo, klasztor spalony, choć niedawno jeszcze pamiętamy w nim rezydencją Metropolity Cieciszowskiego, i następcy jego Biskupa Piwnickiego. Dalej idąc, klasztor i kościół X. X. Trynitarzy zamknięte i puste, po-Bazyljańska cerkiew zdawna opuszczona, po-Bonifraterski kościółek bez dachu, po-Karmelitańskie mury rozsypujące się i gołe, po-Dominikańskie także.... Samo stare miasto otoczone jest tak zewsząd ruinami, z których najstarsza, najpowaźniejsza, zamek Łucki Witołdowy, najwspaniałej dotąd wygląda. W pośród sterczących murów tych liche drewniane miasteczko gęsto zabudowane, mnóstwem pożarów zniszczone, dźwiga się powoli na zgliszczach i podźwignąć nie może. Jedyne gmachami, lepiej zachowanemi, jest dawny po-Jezuicki katedralny kościół, restaurowany przez Cieciszowskiego, klasztor Paniń miłosiernych i Brygidek; a po nich starożytna szkoła żydowska. Reszta miasteczka, malowniczo na wyspie pobudowanego, a dziś przedmieściami wybiegającego po za ciasne szranki pierwotne, najdziwniej się mieści wśród ruin,

ścian obalonych i cmentarzy. Pomiędzy dwiema karczmami żydowskimi nieraz ogień oczyszczając plac, odstłoni ślady dawnych grobów, kletka zlepiona z tarcic przypiera do ściany gmachu potężnego, w klasztorach mieszczą się składy i rzemieślnicy, po celach sklepy i kramy.

Nowe życie pogodzie się ze starem nie mogło: potrącasz co chwilę pamiątkę zaniedbaną, świętość odrzuconą, grób zapadły, na którym żyd szynkuje... Gdybyż przynajmniej żywot ten miał siłę jakąś i obiecywał w przyszłości, ale wszystko to jak w obozie na dzień jeden, nikt na długo nie siadł, każdy zdaje się chcieć uciekać.

Z nowych budowli nie ma jednej coby myślała o jutrze; na dzień, nieopatrznie poklecone są wszystkie, ułamki starych cegieł na glinę rzucone, poosmolane, z pożaru wychwycone belki, tarcic szczątki, drzewo łupane i nietrwałe, które po wierzchu zamażą tynkiem, w mrozy rzuconym, aby się na wiosnę obalił, oto zwykle materiały mieszkańców.

Żadnej ochoty do życia i wiary w przyszłość! To też najsmutniejsze wrażenie czyni to miasteczko, tak swą przeszłością zastanawiające, a dziś tak przerażająco odarte. Jakby na przekór temu stanowi, gdy się oddalisz od Łucka, a spojrzysz nań z daleka, z ruiny brudnej wyrasta ci w oczach jakby widzenie przeszłości.

Piętrzą się mury, bieleją, podnoszą, całość zdaje się czarodziejską ręką dźwignięta z niepamięci, długi sznur gmachów wyciąga się nad szerokimi rozlewy Styru, ale jak czarujące obrazy pustyni, co nikną gdy się ku nim przybliżysz, i Łuck zaledwie wjedziesz doń, ginie i zmienia się w dziką, opuszczoną ruinę, zajętą placami niezabudowanymi pogorzeliisk, i drewnianymi domkami pogorzalców.

Im głębiej posuwamy się w kraj od Uściługu, tem mniej zdaje się w nim życia, gdzieniegdzie po bokach drogi dwór biały

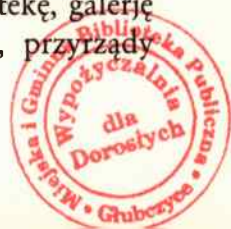
i wieś szara, kościół staruszek, cerkiewka wyświeżona, dawnej architektury miejscowej, ale nowych usiłowań nie widać nigdzie. Tu już poczyna się okolica malownicza, nierówna, widoki urozmaicone, a łany dowodzą jeśli nie starania gospodarzy, to urodzajności ziemi. W niektórych miejscach szczątki wyciętych lasów dębowych, po których pozostałe olbrzymy, niedające się pożyć siekiera ani zużytkować, dają pojęcie przepysznego wzrostu dawnych gajów tej ziemi. Dąb jest na Wołyniu autochtonem, sosna raczej do polesia należy, rozrasta się też tu przepysznie i niektóre z nich mogłyby za wzór służyć malarzowi do studjów, tak są wspaniałe, tak dziwnie pokręcone, pogarbione, powykrzywiane, a pomimo to żywe jeszcze. U nóg ich leżą kłody obalone z konarami potężnymi, niezmiernej grubości, nad którymi chwasty rosną... Gdzieniegdzie wpośród wzgórków przebiega zieloną łąkę rzeczułka, świeci stawek, a przy nim ruina młynka.

Wszystko tu bowiem w ruinach, od chaty do pałacu, od kościoła do lepianki, i cmentarza... Niestety! charaktery i ludzie podobno także w ruinach!

Gdybyśmy nie kochali kraju tego, mniej by to nas obchodziło, ale ta śmierć, samobójczą zadana ręką, przeraża niewymownie i boleć musi, gdy ponad nią najprzenikliwsze oko ziarna odrodzenia ujrzyć nie może.

Na drodze z Łucka minąwszy Jarosławicze, imieniem swem stare przypominające czasy, spotykamy mieścinę nad wszelki wyraz lichą, Murawicę, przy której okop grodziska świadczy o starym zamku. Tuż Chodkiewiczowski Młynów, nowa rezydencja tej rodziny, przeniesiona z Pekałowa, z pięknym pałacem i ogrodem nad Ikwą. Szczęściem jeszcze to nie jest przynajmniej ruiną i pustką, a świeża pamięć człowieka co tu żył i należał do najzacniejszych swego wieku, daje nadzieję, że się z niej w potomkach odrodzi coś dla kraju użytecznego. Mówie

o hr. Alexandrze Chodkiewicza, jednym z zapoznanych i nieocenionych ludzi tej epoki, którą nowszy kierunek umysłów skazał na przedwczesne zapomnienie. Hr. Chodkiewicz żył, cierpiał, pracował do końca z zapałem młodzieńczym, pełen przywiązania dla kraju, gorliwości o dobro jego, gotowości do poświęceń. Potrzeba pracy tak w nim była wielka, tak konieczną, że do ostatka szukał dla niej najrozmaitszego pokarmu. Znakomity naturalista i chemik, poeta, historyk, powieściopisarz, starożytnik, żołnierz, podróżny, zostawił po sobie więcej niż nie jeden daleko wyżej nadeń stawionych ludzi. Wołoko siebie rozlewał i dawał życie, budził do roboty, pomagał, zachęcał, przykładem działał. Cóż z tego wszystkiego? Oto gdy on jeden poważnie i serjo brał życie i robił co tylko mógł by je w drugich obudzić, obojętna otaczająca go społeczność niemal śmiesznością go okryła za to. Nie można go było nieszanować, usiłowano przeciw zmniejszyć zasługi i uczynić z niego jakiegoś monomana, alchemistę, typ jakiś, zakrawający na oryginała. Uśmiechano się z przekąsem mówiąc o nim, o jego szalkach do ważenia światła i ciepła, o jego pismach i nieznużonej do końca pracowitości. Brak współczucia dawał mu się czuć dotkliwie, po śmierci nawet nie oddano mu sprawiedliwości. Tymczasem był to jeden z tych ludzi, dusza wielkich istotnie, których przeznaczeniem by ich zasługa powiększyła się niewdzięcznością ludzką. Nikt prawie nie poznał się na nim, nikt go nie ocenił, świat okrążający litował się prawie, a kilku biednych jak i on szaleńców wzdychali zarazem nad sobą i nad nim. Przyczyniło się do tego że i on jak Czacki usiłując obudzić życie, nadwyrężył mienia, a ludzie pospolici niczego mniej nie przebaczą nad utratę majątku. Zrobić lub stracić jest kamieniem probierczym wartości człowieka dla tłumu, który nic nad grosz nie widzi. Hr. Chodkiewicz zbierając bibliotekę, galerję obrazów, pamiątki, rękopisma, gabinet fizyczny, przyrzady



nowe do doświadczeń, włożył w to znaczniejszą część majątku, który nadwerężyć musiał; zamiast wdzięczności, miano mu to za grzech największy. Cała jego praca wytrwała, cały żywot rozbił się o społeczność co go zrozumieć nie chciała.

Tymczasem postać ta jedna z najpiękniejszych swojego czasu, ten potomek hetmański, który oręż złożony do pochew, starał się w nowej sferze coś dla kraju uczynić, i przodkowali życiu nowemu! Nie było wynalazku za granicą, którego by kosztem swym i staraniem nie starał się zaaklimatyzować u nas; nie było odkrycia, którem by się nie zajmował; a uczoność nie oziębiła mu serca, tak gorąco czującego wszystko dobre, wielkie i piękne, jakby nigdy zawodu niedoświadczył. Imię Chodkiewicza stać powinno na Wołyniu obok Czackiego. Byli to ludzie jednej epoki, jednych chęci, jednej niezmordowanej działalności. Oba starali się po zmianie jaka w tym kraju nastąpiła, oziębienie, ostygnięcie, zobojętnienie powszechne rozbić i przodkować odrodzeniu; oba nie umieli rozpocząć, i wśród najzięblejszego społeczeństwa ciepłem swej piersi ogrzewali na pół umarłych. Oba też w nagrodę czekało zapoznanie, szyderstwo, niewdzięczność. Jeszcze imię Czackiego pozostało otoczone aureolą, gdy Alexandra Chodkiewicza życia, zasług, ofiar, cierpień zabyto.

Ale zdaje mi się że przyszłe dzieje kraju tego, zapiszą poczciwych obywateli imiona jaśniejszemi głoskami nad tych co im szydersko, zimno uwłaczać chcieli. Naszych to lat potrzeba było, aby wynaleźć pozory z którymi pamięci takich ludzi jak Czacki zaprzeczono zasługi, ale śmiesznością by było bronić, co nie potrzebuje obrony. Potrzeba znać chwilę tę, pierwsze lata naszego wieku, zwątpienie i upadek ducha który wówczas panował, aby ocenić ludzi co pierwsi od łez i rozpaczycy wzięli się do działania. Wprawdzie siły ich nie były dostateczne do walki z massami ludzi, którzy się nie dawali niczem rozgrzać i poru-

szyc, ale sama myśl jest cudnie wielką i piękną. Gdyby ogół choć w części umiał być współuczestniczyć z nimi, dziś byśmy widzieli inne usiłowań ich skutki. Ale ich było zaledwie kilku, a reszta życie pojmowała bez obowiązków, bez możliwości wyrobienia przyszłości. Czacki zebrał grosza, dawano mu go niechętnie, ale serca nikt nie dał prawie, dłoni nikt nie wyciągnął, wszyscy patrzali nie wierząc by co z tego wyrosnąć mogło. Prace też to nie podparte, nie wspomóżone, nie uczute, z ludźmi co następców nie mieli którym by swego przekazali ducha, pójść musiały w gruzy.

Dziś imie Chodkiewicza prawie już zostało zapomnianem; oburza mnie, że go nikt nie wspomni, że nikt go nie postawi na miejscu, które mu słusznie należy. Cześć zacnemu mężowi, cześć i sława od ludzi serca i uczucia, nie potrzebuje on wdzięczności, lecz myłyśmy jej dla podniesienia siebie potrzebowali.

Z Młynowa przez długie groble i niewygodne góry jedzie się do Dubna, które już widać w dali na boku wzgórza sterczące. Jest to jedno z najhandlowniejszych i najożywieńszych w pewne roku pory miasteczek naszych. My co potrzebujemy pewnych terminów w roku co by nam przypomniały, że mamy myśleć o sobie, zjeżdżamy się tu na tak zwane kontrakty. Dubieńskie przez długi czas walczyły o lepszą z Lwowskiemi, dziś grożą im coraz więcej ucześnie Kijowskie. Dotąd godzą się jakoś te oba zjazdy, bo Dubieński zaczyna się około połowy Stycznia, a Kijowski ku końcowi tego miesiąca, lecz Dubno dawną swą świetność traci powoli; życie Wołynia którego pulsem nazwać można kontrakty, coraz słabnie.

Miasteczko, niegdyś mniej znaczące z licznych, do ordynacji Ostrogskiej należących, nie bardzo jest wspaniale zabudowane. Do rynku prawie przytykają mury, opasujące dawne zamczysko, w którego obrębie stoi nowy pałac, przez Lubomir-

skich postawiony, lub może z starszego przerobiony gmachu. I to już pustka dzisiaj, choć pamiętamy wszyscy wesołe a gromadne wieczory nasze, spędzane pod gościnnym dachem księcia Józefa i księżnej Doroty. Mur okolny ze ślicznymi bastjonkami po rogach, utrzymał się jak był w XVI. wieku zdaje mi się, a dziś to wielka dla miasteczka ozdoba. Brama wjazdowa jest daleko świeższą budową, a pałac ma cechy XVIII, wieku jeśli się nie mylę, i dosyć jest opuszczony. Ciekawe w nim znajduje się archiwum po książętach Ostrogskich.

Oprócz bramy wjazdowej od strony Murawicy, zwanej Łucką, na której zbierała się Loża masońska w pierwszych latach naszego wieku, bliskiego kościoła i klasztoru po-Bernardyńskiego, nowego parafialnego, jednego klasztoru żeńskiego, tak zwanego ratusza w pośrodku miasteczka w rynku, gdzie się mieści sala kontraktowa i sklepy, Dubno ma ledwie kilka murowanych kamienic, i i od lat kilku nie widać, by się podnosiło. Rynek otaczają znane u nas stare zajazdy drewniane, posklejane jedne z drugimi, rzędem przy sobie stojące, brudne i liche. Żydostwa tu jak szarańczy, a nigdzie prócz może sławnego Berdyczowa, nie ma żydków zwawszych, gotowszych na posługi, zwinniejszych i większych szachrajów. Wjazd do miasteczka nigdy się prawie nie obejdzie bez wrzasku i tragicznej historii. Kupa myszuresów (posługaczy zajazdów) otacza podróżnego, wabi, prosi, zaklina, nęci każdy do siebie, a odurzonego wrzawą porywa i często gwałtem wpędza do pierwszej lepszej bramy. Zresztą rad już człowiek ukończyć ten prolog nieznośny, i zajechać nie wiedząc dokąd, byle się pozbyć napastników.

W ciągu roku Dubno choć handlowe i powiatowe, dosyć puste, a w sobotę żywego ducha prawie nie widać na ulicach, ale za to w porze jarmarku na ś. Piotra, i w kontrakty precyzyjnie się trudno. Nietylko bowiem ci co mają majątki na sprzedaż, do puszczania w dzierzawę, kapitały do umieszczenia i chętkę na-

bycia ziemi wędrują w styczniu do Dubna, ale młodzież, nie mająca co robić a chcąc się zabawić, szlachta dla sprawunków zwabiona przez kupców zewsząd przybyłych, oficjaliści szukający służby i kto żyw i ma się o czem dostać, udaje się na tę targowicę.

Zbyt już często opisywano kontrakty, byśmy tu powtarzać mieli obrazek aż nadto znajomy czytelnikom, a prócz ruchomości swej, nie mający tak dalece barw oryginalnych. Jest to jedyna pora w której Wołyń nieco żyje. Wychylają się ze wsi najupartsi jej mieszkańcy, i przywożą pod strzechę domową nie tylko zapas ryżu i kawy, ale też plotek i wieści najosobliwszych.

Może się nam nie trafi wspomnieć później o cenie ziemi i sposobie w jaki się ona kupuje i sprzedaje u nas, więc tu o tem słówko. Dawne inwentarze i tranzakcje świadczą, że ziemia bardzo lichy była szacowaną, w końcu nawet przeszłego wieku, a sprzedaże były rzadkie, gdyż z obyczaju i pojęcia szlachcic się trzymał roli którą mu ojcowie pozostawili. Dopiero w końcu XVIII wieku frymarczyć poczęło ziemią i nią, że tak powiem handlować. Jeden z pierwszych rzucił się na tę spekulację Poniński, i ogromne ponabywał dobra, choć z nich nie potrafił korzystać. Miał on jakby przeczucie wysokiej wartości ziemi, która stała naówczas nisko... Polował osobliwie na wielkie magnackie dobra odłużone, brał je w szacunku nie wielkim, układał się o rozpłaty, mieniał, słowem frymarczył na wielką skalę, chwytając kapitały gdzie się zdarzały. Szlachta, nie zdradzona jeszcze, niosła mu je z dobrą wiarą. Wiemy jak się to smutnie pierwszym pono przykładem subhastacij skończyło.

Dawniej inne miano wcale pojęcie o ziemi, jej posiadaniu i obowiązkach, jakie ona wkładała. Prawo nigdzie nie zapisało tego, co było w obyczaju i tradycji, ale nie mniej dziedzictwo w ziemi uważało się nie tylko za źródło dochodu, ale za symbol obywatelstwa krajowego, za przekaz dziadowski. Rodziny, wie-

kami ugruntowane na spadkowych majątnościach, wiązywały się węzły nierozzerwanemi z mieszkańcami miejscowemi, z włością całą.

Wieśniak i pan stanowili niemal rodzinę, gdy często dwór, dziecię wieśniacze, chłopiek pańską dziecinę do chrztu śtgo trzymał, a ten związek chrześcijański tak był silny, jak połączenie krwi prawie. Oprócz potrzeby wojennej, pan nie zwykł się był z domu oddalać, życie codzienne zbliżało go do kmiecia, i serdeczne węzły spajało. Dużo dziś mówią o uciskach, ale mnoży je niechęć, a w aktach zostały tylko ślady nadużyć, więc łatwo wojować niemi, gdy pospolity tryb życia zatarł się niemal całkowicie.

Stosunek dziedzica do pana był tu i wszędzie u nas pozostałością dawnego, zabytego porządku rzeczy, czuć się w nim daje gmina demokratyczna słowiańska, na której czele stoi wybrany wojownik i głowa gromady. Z niego to urodził się pan i szlachcic, a jakkolwiek czasy, instytucje, okoliczności odmieniły go wielce, nigdy on całkiem pierwiastkowego pochodzenia swojego nie zapomniał. Stał się panem z wybieralnego naczelnika, ale to jego panowanie podaniowo jeszcze wyglądało na delegacją i zwierzchnictwo czasowe.

Ztąd poszły zapomogi nieograniczone, karmienie czasu głodu, dawanie dobytku, budowanie chat kosztem dworu, i prawo karania i wymiaru sprawiedliwości, zostające w rękach dziedzica. Są to ślady dawnego jeszcze bytu gminy słowiańskiej, do których należą gromadzkie wypasy, wygony wspólne z panem, i rozmaite używalności na ziemi, na której osiedli wieśniacy.

Prawo tych ciągle przeradzających się stosunków długo nie tykało i nie regulowało, ztąd możniejszy rósł we władzę, a słabszy upadać musiał; w głębi jednak tego trwała pamięć dawnego bytu innego, często się odzywająca. Tradycyjalnie szlachta

tam zwłaszcza, gdzie od dawna ziemią jaką władała, opiekowała się włościanami jak młodszą bracią, i czuwała nad nią troskliwie.

Jak z jednej strony stawia nam przykłady ucisku wyjątkowego, tak z drugiej na obronę naszą moglibyśmy tu przywieść nie mniej częste dowody poświęceń ze strony wieśniaków, pozostałe dotąd w tradycjach miejscowych, a przekonywające o sercach ludu jak równie o łagodności rządów tych, co na ofiary i przywiązania okaz zasłużyli...

Spotykamy pełno takich podań o dziedzictwach zrujnowanej szlachty, wykupionych przez wieśniaków składkowym ich groszem, o sierotach któremi opiekowały się gromady, o wspomaganiu dworu przez kmieciów, i chłopą przez dziedzica.

Dziś ze zmianą wyobrażeń świętość i wielkość powołania posiadacza ziemi zupełnie jakoś poszła w zapomnienie; majątek stał się dojną krówką, materiałem do spekulacji, źródłem dochodów i nic więcej. Jeśli zaś kto dobrze zapłaci, sprzedajemy go choćby z nim przefrymarczyć przyszło kościółek, postawiony przez dziada z jego kośćmi, mogiły, pamiątki i najpiękniejsze podania przeszłości. Ten sposób widzenia nie jest nasz, ani się u nas urodził. Dali go nam Niemcy, którzy po większej części na zdobytych lub kupnych siedząc zagonach, nigdy pojęcia nie mieli innego o ziemi nad to które dziś w nas wszczepili. Myśmy to zapłacili niepowrotną utratą w W. X. Poznańskiem wielkich obszarów które nabywają i zasiedlają Prusacy, wiedząc o tem że nie samą ziemię, ale ojczyznę u nas wykupują po kawałku.

Toż samo powoli odbywa się i obok, gdzie cudze plemie, Żydzi i przybysze, wydzierają nam po szmacie krwią ojców okupionego dziedzictwa.

Jak skoro pękł święty węzeł co nas łączył z dziedzictwem po przodkach i ludźmi, na niem zasiedlonymi, poczęliśmy kupo-

wać, sprzedawać i mieniać ziemię naszą, tak że dziś mało jest majątności, któreby w rękach rodzin dawnych posiadaczy przetrwały. Tymczasem majątność ziemską, która dawała miano szlachcicowi, z której się pisano, choć nie obwarowana ani ordynacją, ani w prawie, była niemal nienaruszalną.

Szlachcic zdobywał się na największe ofiary, aby się przy niej utrzymać, wypuszczenie z rąk gniazda było mu hańbą i sromem; ono go czyniło czem był, członkiem społeczności, piastunem dziejowych pamiątek, ojcem poddanych i ich bratem.

W pierwszej chwili tej gorączki frymarku, gdy jedni handlarzyć ziemią zaczęli, a drudzy jak Prot Potocki, na fabrykantów i bankierów się przerobili, majątki wielkie, pańskie poszły za bezcen. Kupowano je nie oceniając lasów, obszerności, rachując się, z małych dochodów ówczesnych i do nich stosując wartość ziemi. Śmiało powiedzieć można i dowieść faktami, że niektóre dobra pozbyte na ówczas, dziś tyle czynią intraty, ile byty zapłacone. Nie było normy do ocenienia dóbr, a cena ich prawie od fantazji lub wedle starych tranzakcji z małym podwyższeniem ustanowioną była. Spotykamy też w działach majątności niekiedy fantazyjnie ustanowione praetium, dziś jeszcze zastanawiające wysokością, a obok niewiedzieć dla czego cenę niesłychanie niską. To samo dowodzi jak przedtem wcale nie musiano ziemi uważać za przedmiot handlu, gdy ceny ustanowić nie umiano, i nie wiedziano na czem się oprzeć przy sprzedaży. W ogóle ceny majątności były bardzo niskie, a ziemia nieosiadła miała wartość małą... Niektórzy nabywcy, cały szacunek lub we dwoje nawet pobrali z lasów towarnych gdy handel zagraniczny drzewa zażądał.

Frymark dobrami wprowadził nareście osiedlenie jako normę ceny, i tak zwane dusze sprzedawać zaczęto. Chociaż wyrażenie to nie bez przyczyny oburza, i prowadzi za sobą ideę

sprzedaży człowieka przez człowieka, co jest samo z siebie ohydny, to jednak prawo oglądania się na ilość dusz dozwalało ustanowić cenę, przybliżenie odpowiadającą wartości. W istocie w kraju tak obszernych przestrzeni, a stosunkowo tak mało zasiedlonym, człowiek tylko nadawał wartość ziemi, bez niego stawała się zupełnie bezcenną. Wszystek lud stale jest osiadły, prawo przykuwa go do sadyby, najemnika i ludzi wolnych nie ma prawie, cóż więc począć z najżyźniejszym łanem, gdy go ani zorać, ani zasiać, ani wynająć nawet niepodobna.

Do ilości dusz mniej więcej, ale różnie stosuje się obszerność majątku, i począwszy od takich majątków które mają w ogóle po włoce lub więcej na jednego wiejskiego mieszkańca, znajdują się które nad pięć i sześć morgów nie posiadają. Na Polesiu nie rzadko jest z górą włoka i więcej na duszę jedną, ku Wołyniowi, są tak obciążone posiadłości, gdzie i sześciu morgów nie znajdziesz...

Pospoliecie włościanin, całkowite posiadający gospodarstwo, ma w trzy zmiany, każda po pięć do sześciu morgów, łąk mniej nieco, sadybę z ogrodem wspólny gromadzie wypas.

W dworskich łanach bywa od morga i dwóch na duszę męzką, do pół i mniej. Dwóch morgów obrobić niepodobna, jeden jest proporcją najpospospolitszą. Wielka tu jednak różnaitość uposażeń i dogodności, a dziś gdy ziemia z rąk do rąk przechodzić zaczęła, poznaliśmy się na sposobie w jaki ja oceniać potrzeba. Dawniej zwykłą ceną dóbr, było tysiąc złotych za duszę średnią proporcją, dziś przy wielkiej ilości ziemi, lasach, wodzie, dogodnościach szczególnych, widzimy wartość takiejże duszy podnoszącą się do pięciu i dziesięciu tysięcy złotych. Niewątpliwie jednak cena ziemi z przybyciem ludności, z ustaleniem na pewniejszych zasadach stosunków włościańskich i własności jaką się im wydzielić może, podniesie się znacznie. Dziś stan jakis przechodni, obawa zmiany i wywłaszczenia

sprawia, że raczej niższa cena utrzymuje się tylko. Jednakże pomimo skarg, widzimy że przy miernych gospodarstwach a odrobinie staranności, dobra niektóre od szacunku dają czystego dochodu ośm i więcej procentów; w latach lepszych znaczniejsze nawet. To okazuje, że wartość ziemi przy niższej stopie procentowej, podnieść się musi jeszcze niechybnie. Nawet dobrze zrozumiany własny interes powinien by niedozwolić łatwo sprzedawania ziemi, która jest najlepszą hypoteką, i najlepiej procentującym kapitałem. Ale dla nas to drugorzędny wzgląd tylko, daleko ważniejszym, świętszym jest obowiązek trzymania się na starych sadybach, we właściwym nam życiu rolniczem.

Nie zastąpi go przemysł, handel, spekulacja, a jeśli te nas cieleśnie wykarmią, to niezawodnie szkodliwiej i silniej wpłyną na wynarodowienie niżeli obce instytucje sąsiednich nam prowincji języka naszego.

Żywot nasz wiejski dał nam charakter jaki mamy, i on nas tylko przy nim utrzymać może. Spójrzmy na zamieszkujących miasta, na tych co się rzucili w świat przemysłu i obrotów pieniężnych, są to ludzie cywilizowani, ale nam obcy i na pół, jeśli nie całkiem cudzoziemcy. Wioska nie wzbrania nam postępu, nie nakazuje uparcie trzymać się starego, dla tego tylko że stare – bo słusznie powiedział S. Cyprjan: *Consuetudo sine veritate, vetustas est erroris*, ale jej powietrze, jej żywot, jej obyczaj zdrowo i święcie działają na człowieka, nie odrywając go od Boga, trzymając przy wspomnieniach i podaniach, w torze tego żywota którym żyliśmy wieki. Wieś jest piastunką tradycji, i macierzą społeczeństwa naszego.

Nie dla poezji wioski tylko opiewali ją nasi poeci, Kochanowski i Zbylitowski; czuli oni że tam było ognisko życia dla nas, nie po miastach gdzieśmy zaraz obczeli i wynarodowiali

się powoli. Gdy wieś ilekroć tylko przyjmowała na łono swoje cudzoziemca, co sobie kupił ziemi z trzosem przywędrowawszy lub tu go nabywszy, zaraz go czyniła go obywatelem i w drugim pokoleniu brzmienie nazwiska tylko przypominało pochodzenie, miasta zostały cudzoziemskie jak były. To dowodzi, że siła genetyczna nigdy u nas nie była po miastach. Obcy w nich panował i pozostał w głębi pierwiastek, a wioska nawet żywił nie swój, zaraz przerabiała i przyswoić umiała, pochłonywając go w sobie.

Z rodzin cudzych, niemieckie, włoskie, francuskie noszących nazwiska, ani jednej osiadłej na wsi nie ma, któraby się polska nie stała w krótkim przeciągu czasu, w miastach przeciwnie żywił obcy się skupiał, trwał i panował. Żyd nawet na wsi był inny, po miasteczkach uparciej się hebrajszczyzny trzymał.

Z tego wszystkiego cośmy tu bardzo pobieżnie napomknęli, przekonać się łatwo, że obywatele posiadacze dóbr, lepiejby posłannictwo swe i powołanie wielkie zrozumieć powinni. Dochód z majątku nie jest celem, jego, jest środkiem, posiadanie nie powinno się uważać za osobistą własność, ale za przekaz z którym największe i najświętsze połączone są obowiązki. Zachód to zaszczerpił w nas to pojęcie własności, do nieskończoności rozporządzalnej i mającej służyć fantazjom człowieka tylko. U nas majątności niosły z sobą ciężary, i nie można je było posiadać wyłamując się z tego, do czego obowiązywały. Szlachcic z chleba dobrze zasłużonych dorabiał się czegoś, dawał mu kraj, ale natomiast wymagał od niego poświęcenia i majątności i życia, gdy była potrzeba.

To co swojem nazywamy, jest bez wątpienia nasze z prawa pisanego, ale wedle wyższych praw Bożych i podań wiekistych, myśmy szafarze tylko. Rzadko szafarz cnotę posuwa do

tego stopnia, by drugim dając sam był głodny, ależ nie wolno mu zdaje mi się, objadłszy się zamknąć spiżarnię i nie dać do niej nikomu przystępu.

Dawniej, mamy tego przykłady liczne, niczem było dla szlachcica w publicznej potrzebie założyć majątności, sprzedać srebro, by poselstwo odbyć lub chorągiew wysztyftować; dziś to się tylko robi ażeby pojechać do Paryża, i spłacić długi marnotrawstwa.

Aleśmy za daleko odpłynęli od brzegu, a piosnkę tę smutną spiewając, gdybyśmy się nie wstrzymywali, gdzieżby nas to i do jakich Jeremiad doprowadzić mogło! Dajmy pokój!

Dzisiaj sprzedaże majątności oględniej się robią i trochęmy się poznali na wartości ziemi, daj Boże i na powołaniu gospodarza... Tego, miana nie ma żaden język prócz słowiańskich, *ziemindar* w Indji tylko mu odpowiada. Gospodarz, nie znaczy tylko rolnika i pana domu, oznacza zwierzchnika, rzekłbym kapłana domowego ogniska, głowę rodu, i spadkobiercę wieków. Hospodarem w Rusi i na Litwie najwyższym zwał się panujący, a doma każdy starszy, władający mieniem i rodziną. Proszę mi gospodarza przełożyć na inne europejskie języki, w odpowiednich na pozor wyrazach; będzie ułamek tego pojęcia, ale mnóstwo zginie odcieni.

Myśmy z gospodarzy poszli na dziedziców, na panów, na właścicieli, a to wielka różnica!!

Ale czas dalej z Dubna które nas dłużej nad spodziewanie zatrzymało. Droga dalsza prowadzi przez Warkowicze, z wielkim pałacem nad stawem, i ruiną kościoła; miasteczko na oko przynajmniej porządne, a w położeniu prześlicznem, ku Ostrogowi, stolicy książąt tego imienia.

Kraj cały mimo równo żyznych, przecinających go, przedudownym co chwila wstrzymują oko obrazy świeżości, mło-

dości, uroku pełne... Jedzie się górkami, gajami, wsiami w rozkosznych położeniach; ale człowiek nic tu prócz pałaczków nie pobudował. Za Warkowiczami które zastanawiają feudalną fizjognomią zamku, jeszcze mieszkalnego, u wsi Uizdźce przejeżdża się część gór, *koziemi* zwanych, które zdobią bardzo ten kraik.

Jest to odnoga Karpatów, rozplywających się powoli na płaszczynach Wołynia. Góry te pokryte laskami, w kształtach bardzo wdzięcznych, powyginanane, gdzieniegdzie rozdarte łomem kruchego piaskowca, urozmaicają widok. Sine ich pasma giną gdzieniegdzie w oddaleniu, poplamione zaroślami ciemniejszymi. Boki ich, łagodniej schodzące ku równinom, są miejscami uprawne. Aż do Ostroga ciągle gościniec zwija się krajem uśmiechniętym, w ostatku oko odkrywa to miasto ruin i grób wielkości jednej ze znaczniejszych rodzin Rusi Wołyńskiej. Nie wiem jak ono za świetnych swych wyglądało czasów, ale dziś to obraz cudnie piękny... Przypominał by Łuck ilością ruin nagromadzonych, ale położenie całkiem inne. Pierwszy leży w dole, u wód Styrowych, płasko rozciągniony Ostróg piętrzy się na dosyć podniosłych wzgórzach, zyskując wiele na tem... Od strony Dubna wita nas wielka, na pół rozkopana i rozdarta mogiła, a na niej krzyż co się nad poganką zlitował, wyciąga ramiona błogostawieństwa.

Zaraz za nią otoczony murem mijamy kościółek kapucyński, ruinę, ozienioną drzewy którą tak cudnie opisał X. Holiwiński; tuż dają się postrzegać celniejsze ściany murów dawnego Ostroga, kilka murowanych bram, ś. Trójcka cerkiew i baszta na górze zamkowej, ogromne klasztory jezuickie i bazylijańskie. Wszystko to zakupione na przestrzeni nie wielkiej, a u podnóża olbrzymów tych z których duch i życie uciekło, kletki drewniane, nędzne domostwa dzisiejsze. Rzekłbyś że

nowe pokolenie samo się uznało niegodnym zamieszkiwać w tych wspaniałych ruinach, i dobrowolnie przeniosło się z pokorą do budek i szałasów, dla niego wystarczających. Porównanie wszystkiego dawnego z nowem, napętnia upokorzeniem niewysłowionem. Gdzież te bogactwa, moc, potęga, gdzie myśl co tem dziełem sterowała? Nic że się nie odrodzi, nikt że ich nie odziedziczył?

Ostatni dziedzic Ostroga smutna losu igrzyska, w domu obłąkanych bez nadziei uleczenia, ma się za pana świata, a zarazem za naczelnego strażnika szpitalu, i w nim może przeznaczono mu skończyć życie!!

Gdybyśmy nie dla urągowiska i wymówek, ale ze szczerą boleścią dotknęli historii rodzin pańskich, zgasłych lub gasnących na Wołyniu, pokazałoby łatwo że niemal wszystkie upadły własną winą i skutkiem wszelakich nierządów. Ale ten obraz z największem malując umiarkowaniem, popadlibyśmy w podejrzenie nieprzyjaźni którą nam zadawano zbyt często, by sobie tego teraz odmówić miano, poszło by to na rachunek jakiejś systematycznej nienawiści przeciw arystokracji, gdy z miłości jej dobra wołamy do niej o podźwignienie się moralne, o nieoddzielanie od ogółu ani myślą, ani obyczajem, ani mową, ani przesądem urodzenia... Dobrze to powiada przysłowie jakieś, że ten najgłuchszy kto słuhać nie chce.

Upadkowi u nas wielkich i sławnych rodzin zaprzeczyć trudno, w oczach naszych odegrały się ostatnie sceny tego dramatu, tej kary Bożej, w której straciliśmy wszyscy, bo nam starych wodzów i przewodników zabrakło. Majętności, charakteru, serca, nieposzlakowana prawość, do ofiar gotowość, wszystko to poszło w proch i rumowisko; dziś miejsce tych odrzuconych zajmują świeżo jak grzyby wyrosłe podpanki...

Nim się wyrobi nowa klasa coby istotnie przodkować nam mogła czemś więcej, nie samą dumą jak ci nowo kreowani do-

robkiewiczze, szkoda nam wielkich imion zgasłych, a bardziej ducha co je ożywia! Ale mogłoby być inaczej gdy między nimi a nami pękł węzeł dawny, i zostali niepodparci, bez natchnienia, sami sobą i sami dla siebie, gdy zapragnęli żyć w samolubnym zasklepieniu i odłączyli się od ogółu, lękając ocierać o kapoty szare swych gronostajowych płaszców? Zaczęło się to dawno, od lekkiego pojmwania życia, od sobkowstwa, od francuskiej politory, a skończyło dla jednych obłąkaniem, wygnaniem dla drugich, dla innych ubóstwem, kupionem rozrzutnością nieopatrzną, poniżeniem, steraniem, ożenieniami z kucharkami i klucznicami i t. d. i t. d.

Tymczasem wystąpili zastępcy na miejsce nieprzytomnych, i za parę set lat gdy się z nich zetrze rdza i chropowata łupina, może wyjdą na coś pańskiego. Dziś to jeszcze śmierdzi dumą więcej niż zasługą, i wyżej drze nosa niż ma prawo... Cała ta nowa arystokracja nie ze krwi, nie z boju, nie z posług obywatelskich, a... z grosza! tylko powstała.

Pochodzenie takie nie prędko się zaciera...

Ale rzućmy już starych i nowych panów, a Bogu ich poruczając, wyruszmy z Ostroga, który od strony Zasławia w nowej się nam i bardzo pięknej przedstawi postaci... Ale ztąd wygląda smutnie. Długie ściany murów dwóch kolegów, odrapane zamkowe szczyty, przytem piaszczysta okolica, sośninką porośła, może brak zieloności, obnażają go z pozornego nawet życia, i nagą stawią ruinę. Cała prawie przestrzeń, dzieląca od Zasławia, ławą ogromnych piasków, lichemi sosnowemi laskami porośła, jest zajęta. Najnudniejsza to część drogi, którą u nas tyle czasu przebywać potrzeba, ile gdzieindziej na jakie mil trzydzieści ledwie by wyszło. Z pośrodku lasów wyzierają tu i owdzie dosyć schludne wioseczki i stawy. W Białotyńcu jest fabryczka wyrobów glinianych polewanych, pieców, naczyń i t. p. wcale nie zła, ale dotychczas na bardzo małą skalę i z niewiel-

kim odbytem. Zasław, druga stolica Ostrogskich, dziś należąca do Sanguszków, podobny jest do innych miasteczek naszych, z tą różnicą, że oba w nim kościoły całe, klasztor zamieszkały i pałac w dobrym stanie. Stoi on na dawnym zamczysku, ale przerobiony zupełnie w stylu XVIII, wieku, ciężki, niesmaczny, jednak poważny i zdaje się stać jakoś mocno i trwale. Gdzieś tam otaczają go szczątki murów obronnych, daleko od niego starszych... Zresztą nic zastanawiającego oprócz rozległych wód co go oblewają.

Równie malowniczym, żyznym bardzo i pięknym krajem jedzie się ztąd do Starego Konstantynowa, który stojąc już na kraju Podola, ma nieco fizjognomię podolską. Za nim i w koło step goły, drzew mało, pusto i brzydko, ale czuć zamożność. O piękność nikt się tu nie starał i o niej nie myślał. Stary zamek Konstantego Ostrogskiego stoi tu jeszcze, ale przerobiony na coś bez charakteru i stylu, jedna tylko ściana ma jakieś ozdoby na facjacie. Prowadząca do niego brama wcale się nie odznacza wspaniałością. W samym miasteczku dawny dominikański kościół przerobiony dla obrządku wschodniego, spieszną restauracją został zeszepecony. Wdzięczny jest bardzo kapucyński kościółek. Mieścina mimo lichego pozoru jako skład soli i towarów, od Odessy przychodzących z jednej, a od leśniejszego kraju z drugiej strony, jest ogniskiem znacznego handlu.

Starozakonni porobili tu znaczne majątki, i dalej je rozrabiają ze stałością i wytrwaniem im właściwym. Okolica jedna z najpóźniejszych, majątki szlacheckie wygodne i dobre, obywatele dostatni, życia społecznego bardzo mało...

Od Łucka jadąc drugą stroną i kierując się ku Żytomierzowi, krajem mniej żyznym, ale nieupośledzonym zbytnio, przybywa się do Radziwiłłowskiej Ołyki, znowu jednej z ruin Wołynia. Stary wprawdzie zamek Stanisława Albrechta stoi cały,

ale w nim był długo szpital wojskowy, i wszelką wspaniałość utracił. Jest to kwadrat mocnych murów, wcale nie pięknych i niepokąźnych, z jednej strony są szczątki okolnej kortyny, osłaniającej dawniej od napaści. Obok wspaniała ale nie piękna wznosi się kollegiata, postawiona z przepychem ale bez smaku, ratusz spalony który czeka rozebrania, a od strony Klewania brama wjazdowa z orłem Radziwiłłowskim. Klewań, o kilka wiorst odległy, choć zamek jego stoi cały i niedawno jeszcze szkoły w sobie zawierał, pustką jest dzisiaj, dobra te nie wyszły z imienia, ale stan miasteczka nie podnosi się wcale! – Wszystkie te gródki, u wód na wzgórzach pobudowane w położeniach szczęśliwych, noszą na sobie ślady dawniej lepszego bytu, dziś dźwignąć się już im niepodobna. W Klewaniu znać nawet administrację staranną, ale ona sama podźwignąć nie może tego, co wszystko do upadku nachyla. Maleńki kościółek na górze towarzyszy zamkowi, do którego wspaniały murowany most prowadzi. Z tąd do Równego droga zawsze krajem żyznym i wesołym, który ma cechy, całemu Wołyniowi właściwe, wzgórkowate pozycje, przecięte gajami, dużo wody i pola obficie rodzące. Równe, należące do Lubomirskich, gdyby nie to że jest ściekiem wód i błota całej okolicy i nieznośnie błotnistem, wcale by było piękne, bo ma śliczne drzewa, wody wiele, pałacyk co je zdobi i pobudowane jest w części porządnie. Szkoły gimnazjalne dodają mu życia.

Z tąd do Korca mamy już świeżo skończoną drogę kamienną, która pozwala przestrzeń tę przebiec prędzej niż dawniej, zwłaszcza w porze dżdżystej i roztopów. Korzec znowu jest pustką, znowu ma ruinę zamku w bardzo malowniczym położeniu, ruinę kościoła po-franciszkańskiego, i sam jest ruiną cały. Ostatni dziedzic z dawnych posiadaczy roił dla niego przyszłość wielką, pobudował, założył fabryki, osadził rzemieślnikami, ale dziś ślad tego pozostał tylko w obmurowanym rynku,

najniegodziwiej utrzymanym przez żydów. Handlu żadnego, życia nie wiele... Kilka sklepików mizernych, żydowstwo ubogie, a nie umiejące się dorobić nawet grosza.

Na drodze do Żytomierza jeden już tylko dawny Zwiachel, dziś zwany. Nowogrodem Wołyńskim, spotkamy, miasteczko w którym wykruszone kawałki muru nad Słuczą świadczą, że niedarmo wspominają o niem dzieje wojen z Litwą. Słucz jest tu bardzo piękna i przygotowuje niejako do Teterowa, dno jej i brzegi wyścielają ogromne bryły granitu, obrosłe mchami, którego koloryt przy żółtych piaskach, przezroczystości wód i zieleni zarośli prześlicznie się wydaje...

Po za Słuczą wjeżdża się w lasy, otaczające szerokim pasem Żytomierz, niegdy prawdziwe puszcze, porośłe niezmiernymi drzewy, dziś po wyniszczeniu wszystkiego co się wyciąć dało, małe i nędzne zarośla wśród trzęsawisk, których widok osmuca i zatrważa. Nic nie ma w świecie piękniejszego nad wielkie lasy, majestatyczne drzewa i gąszcze ciemne, ale kępiaste błoto z sośninką trzyłokciową i brzeziną karłowatą mogło by w rozpacz wprawić podróżnego gdyby więcej nad dobę skazany był je oglądać. Dziwnym trafem droga przeszła tu mijając osady, których ledwie parę dotknęła, i ciągnie się nieustając krainą której na wynagrodzenie jej ubóstwa dana jest *Azalea pontica*, tutaj bardzo niegrzecznie jakimś bagnem nazwana, lub zielem diabelskim, zapach bowiem kwiatu sprawia rodzaj odurzenia i snu.

Azalię nie zdarzyło mi się tu spotkać, ale często przejeżdżając tę stronę, nigdy się nie mógł odjąć wrażeniu jakie na mnie sprawiała. Jest to obraz nędzy, opustoszenia, dzikości, jest to prawdziwa ziemia wygnania, którą nie prędko poświdruje Niemiec i rurami z niej nadmiar wody sprowadzi. Dziś rury jednego morga więcej by tu kosztowały, niż kilka morgów na dziedzictwo.

Otóż z wyjątkiem Krzemieńca i Owrucza, Kowla i gdziein-dziej przez nas nieraz opisywanych już okolic, rys powierz- chownej fizjognomij Wołynia. W miejscach tych któreśmy pominęli nic też nad ruinę nie znajdziemy: w Krzemieńcu za- mek królowej Bony i Liceum Czackiego, w Owruczu starą Olgi cerkiew, w Kowlu prócz pamiątki Kurbskiego nic podobno więcej. Wśród tych mogił, zgliszcz i gruzów Wołyni cały w mil- czeniu dożywa dni których wątku nie zdaje się ani chcieć prze- dłużyć, ani dbać o nie. Z wyjątkiem kilku obywateli zamożniej- szych, którzy pozaprowadzali u siebie fabryki i gospodarstwa wzorowe, nowe życie nieobudziło się nigdzie...

Nie jestem ja wcale przyjacielem reform nierozważnych, które dając grosz pozbawiają nas charakteru i zrywają stosunek nasz dziejowy z przeszłością, ale pojmuję dobrze że w duchu swoim własnym i w stosunku możności powinniśmy myśleć o sobie i brać się do czegoś. Nie święćmy nic ulepszeniom i zo- stańmy ubodzy bodaj ze sobą, ale gdzie mamy możność sobie i drugim byt osłodzić, nic nie tracąc, czemuż nie pracować? Nie poświęciłbym najmniejszej pamiątki największym korzyściom materialnym dla kraju, ale czyż nie ma innej dla postępu drogi, jak przez cmentarz i kościoły? Nie uważam za najpierwszy obowiązek bogacić się, ale nie sądzę, by uczciwie zdobyta za- możność grzechem być miała, byle do niej serce nie przyłgnęło, byle jej godności i charakteru nie poświęcić.

Zresztą nie o postęp gospodarski domagam się, nie o fabry- ki, nie o drogi, ale o oświatę dla ludu, ale o chleb dla kapłanów, ale o wsparcie dla języka, o poszanowanie przeszłości i nieza- pieranie się jej czynem.

Co mi po nazwisku, które wnuk wziął po dziadzie, gdy w nim ducha dziadowskiego nie znajduję, gdy tradycja w nim zgasła, gdy się rzekł spółki i przodkowania i laskę marszał- kowska na wagę srebrną przetopił?

Wprawdzie dziś wszędzie czasy są na ludzi ciężkie, nie rodzą się olbrzymi, ale u nas mniej Bóg dbał, niż gdzie indziej. Nie wyrzucam tego krajowi, umiem sobie wytłumaczyć to nieszczęście, ale boleję nad niem i skarżę się na nie. I wodzów i żołnierzy nam brakuje, a co najgorzej, my nie widzimy, że nie dostaje czegoś, i spokojniśmy jak w najszczęśliwsze czasy.



### III.

## Żytomierz.

Nazwisko miejsca wskazuje starożytną osadę, mylą się tylko ci co od miary wywodzą Uszomierz i Żytomierz, znaczyć to musiało ze sławiańska *mir*, świat Żytni i świat nad Uszą. Rzeczywiście okolica miasta wcale nie pszenna, a domyślając się z tego co dziś jest, tego co to dawniej być musiało, raczej by światem lasów nazwać wypadało stolicę naszej prowincji. Ze wszystkich prawie stron puszcza okrąża miasto, osłania je, i nie dawnymi jeszcze czasy wchodziła prawie w środek siedziby.

Od dawnego przyjazdu na Wilsk sosnowe bory niemal wra- stały w przedmieścia, z drugiej strony po za Teterowem i Kamionką, stoją jeszcze na wybrzeżach ich szczątki, pod Stanisówką także las blisko. Codzień go mniej, bo człowiek wycina nielitościwie, ale jakaż to szkoda! Bez drzew pustka wszędzie, goło, nago, z niemi i weselej i milej, a później zasadzać przyjdzie to, co się nierozważnie wytrzebiło.

Położenie miasta na brzegach dwóch rzek nie wielkich i nie wspaniałych, w głębi puszczy i kraju, który nie był bardzo zaludniony, nie obiecywało wielkiego życia. Żadna wielka droga handlowa nie przechodziła tędy z dawna, punkt sam z siebie nie był strategicznie ważny, wręcz Żytomierz nie jednoczył obywateli kijowskich, którzy w grodzie ś. Włodzimierza mieli ówczesną stolicę swoją; miasteczko też wcale nie rosło i nie podnosiło się aż do końca XVIII wieku.

Jeżeli się nie mylę, gród tutejszy i osada sięgają najdawniejszych czasów, ale należały do pomniejszych i niczem się nie odznaczały, żadnych też tu starożytnych pamiątek, żadnych śladów życia którego mniej było niż dzisiaj. W początku XIV. wieku na jednej z gór miasta dziś pustej, maleńkiej jak wszystkie dawne na których się wznosiły zamczyska, stała twierdza, zdobyta w pochodzie litewskim Gedeminowym na Kijów. O zdobyciu jej na równi z innymi zamkami kijowskimi, zaledwie jest wzmianka. Miejscowe podanie i wszelkie prawdopodobieństwo wskazuje górę zamkową, tam gdzie później na wyniosłości, podniesionej dosyć i bardzo piękny na Kamionkę i okolice widok przedstawiającej, założono ogród publiczny, który dziś niszczał i ledwie kilka zeń drzewek zostało.

Głucha jednak wieść dozwala się domyślać że na drugim brzegu Teterowa, był gdzieś w okolicy zamek starszy jeszcze, którego ślady w okopach tylko, zarosłych lasem, zostały.

Nie wiemy który z nich zdobyty był przez Gedymina. Z późniejszych dziejów wiemy o oddaniu zamku zapewne z okolicznymi włościami, później tak zwane Starostwo składającymi, przez Witołda Skirgielle. Było to w końcu XIV. wieku; przez cały piętnasty głucho i słowa dopytać się nie można o Żytomierzu, który w ciszy swych lasów wegetował. Ludność jego składała się z mieszczan, tylko małe powinności odrabiających do zamku, trochę żydów zapewne, i jakiejś załogi niewielkiej. Oprócz zamku którego ślad nie został, bo być musiał drewniany, żadnej starej budowy, żadnej fundacji cerkwi ni kościoła.

Zwykle miasteczkom udzielane przywileje wspominają z początku XVI. wieku uwolnienie od myt przy wwożeniu zapasów żywności do miasta. W r. 1545 jest ślad że zamek się spalił a z nim starsze jego nadania; z tego powodu dowiadujemy się o opłacanej z tąd daninie do Kijewo - piecherskiego monasteru, zapewne Skirgiełłowej fundacji, o obowiązku mieszczan kosze-

nia łąk na potrzebę zamkową, a choć się tu nie wspomina o innych powinnościach do zamku, straży, poprawy budowli i t. p., te same przez się rozumieć się zwykły. W ciągu tego wieku nic nie zwiastuje aby się jakie życie obudzać miało, w połowie jego wiemy tylko o dwóch młynach na rzekach Teterowie i Kamionce, i dziś jeszcze istniejących, później nieco spór między mieszkańcami a Wojewodą Kijowskim, Tyszkiewiczem rozstrzyga naznaczona komisja. Jak zameczek ten małej był wagi w militarnym względzie, dowodzi że w spisie zamków, opatrzonych działami i prochami za Stefana Batorego, nie znajdujemy wcale Żytomierza...

Ustanowiono wręście w 1596 dwa dwutygodniowe jarmarki, które jednak nigdy znacznymi nie były. Starostwo z miastem w 1605 dano X. Januszowi Zasławskiemu, a w rok później w Maju 22. napad tatarski niszczał je zupełnie. Mnóstwo ludu okolicznego popędzono w niewolę, miasteczko na długo opustoszało.

Z opisu zamku, przy zwykłych lustracjach zrobionego w lat kilkanaście później, zdaje się że go musiano wyrestaurować nieco.

Budowa to była drewniana, opasana wałem wysokim, jedna strona stromej góry przypierająca do małej rzeczki Kamionki, w pośrodku stał dworzec królewski, a raczej Starościński, po rogach piec baszt i trzy bramy. Z obejrzenia miejscowości która okolicy panuje, trudno jednak pojąć dla czego tu na zamek miejsce początkowo obrano. Kamionka usiana bryłami skal, latem jest prawie sucha i nieosłania wcale, z innych stron łatwo się było dostać na pagórek choć nieco stromy, gdy zwyczaj i miejscowość wskazują w widłach Teterowa i Kamionki, u ujścia jej najwłaściwsze na gród położenie. Wprawdzie wiosenne wody szeroką tu chwilowo przestrzeń zajmują, ale sypano kopce gdzieindziej, i tu się podnieść było łatwo. Do Starostwa które

razem z miastem chodziło, kilka wsi sąsiednich się liczyły: Staniszówka nad Teterowem, Slazinka (?) Psyszczce, Waćków, Baryszówka.

W połowie XVII. wieku, w czasie wojen Chmielnickiego znowu zniszczony został Żytomierz ogniem i mieczem (w 1648 r.) a ten napad równie jak poprzedzający, przyczynić się musiał wielce do wstrzymania późniejszego jego wzrostu, ku któremu też żywiołów nowych nie było.

W 1667 r. przeniesienie sądów ziemskich z Kijowa do Żytomierza, nadały mu niejaka ważność i były jakby przepowiednią późniejszego dźwignienia na stolicę prowincyj, co jednak nie rychło nastąpić miało. Szlachta poczęła tu mieć dworki swoje, które stały się później jądrem miasta w XVIII. wieku.

Do XVIII. wieku nie mamy nawet śladu czy był jaki kościół, i inne prócz drewnianych dwóch cerkiewek odwiecznych; w tym czasie dopiero wprowadził tu około 1761 r. XX. Bernardynów starosta tutejszy, Kajetan Iliński, a biskup Załuski Panny miłosierdzia. Jezuita taki klasztor i kościół budować zaczęli, a oficjał Prymowicz cerkiew założył porządniejszą.

W 1796 r. nareście przy nowych rozporządzeniach kraju, Żytomierz stał się stolicą prowincyj, dziwnie wybraną, bo na krańcu jej położony, oddalony niezmiernie od skrajnych jej powiatów przeciwległych, odosobniony całkiem, z trudnością wejść z nią może w związek jakiby istnieć powinien między ogniskiem rządowem a krajem rządzonym.

Miasto jak dziś jest całkiem nowe, smutne tem, że żadnych w niem prawie nie znajdujemy pamiątek, tworzy się i wyrasta w oczach naszych codziennie powiększając i zaludniając powoli. Teraz ono z ludnością ruchomą od dwudziestu kilku do trzydziestu tysięcy liczy; domy wznoszą się codziennie prawie nowe, place zabudowują, i niedawny jeszcze pozór lichy samego środka miasta, dziś obiecuje bardzo porządne.

Nie sądźcie wszakże żeby to już dziś było miasto na wzór zagranicznych, takie jak inne prastare, całkiem to co innego i ta oryginalność według mnie jest właśnie jego głównym wdziękiem. Przybywając od strony Cudnowa gdy z lasów się wychylisz, postrzegamy na niezmiernej przestrzeni rozciągnięte bielejące domy, cerkiewki, gmachy podnioslejsze i Żytomierz wygląda ztąd niezmiernie okazale. Ale wpośród tego rozległego miasta, jak w prastare czasy, ogromne znajdziesz sady, ogrody, folwarczki, i nieraz ujrzyś spokojnie orzący pług obok piętrowej kamienicy. Jeszcze niedawno w samym rynku stały zajezdne domy żydowskie o wysokich dachach, o gankach malowniczych, ścianach zapadłych, czarne, straszne a odrapaniem swem piękne, które niemal gwałtem zrzucić musiano, gdy je zewsząd mury nowe ścisnęły. Teraz już wpośród ich nie ma, ale na Wilskiej ulicy, po mniejszych przejściach, nad Kamionką, stoją jeszcze prastare domostwa, próbki tego, czem dawniej był Żytomierz. Zapewne dla wygody mieszkańców, dla ich przyszłości lepiej to daleko, że się tak dziś wykwinnie budują, ale dla oka malarza, szukającego czegoś niespodzianego w liniach, w kolorycie, kształtach, te kletki stare i walące się, nieoszacowanym były skarbem.

Dalej dalej już ich wzorów nie będzie gdzie szukać... a myśl nigdy tak obfitą nie jest, by stworzyć mogła coś równie fantastycznego... Pan Bóg te kletki umyślnie musiał też dla rysowników i malarzy kazać stawić. Co to za rozmaitość w nich, jakie niespodziane szczegóły, ile niepojętych dla budowniczego nowych czasów pomysłów. Często dom jedną ścianą utkwiony na palach wysoko, nigdy jak dziś w regularny kształt pudełka do chowania ludzi nie staje. Musi się wyłamać w prawo i lewo, jednym skrzydłem niżej, drugim podniosłej. Dach posłuszny wygina się także fantastycznie, i przedstawia to przyczółki, to ganeczki, to okienka różnie w nim poprzyklepane. Do koła co

wschodków i galeryjek ażeby mieszkania z sobą połączyć, to pnących się na poddasze, to spuszcających w podziemia.

Dodajmy do tego koloryt, drzewo poczerniałe miejscami, siwe gdzieindziej, złociste tam, kędy je podsztukowano, kawałki tynku pstrzące budowę, cegłę i kamień obnażone, a przyznać będziemy musieli że dla malarza taka stara ruina nierównie piękniejsza od białego kwadratowego domu, pomalowanego zielono i różowo...

Ale już dziś w Żytomierzu nawet po małych poczciwych uliczkach gdzie się dłużej stare życie trzyma, nie łatwo znaleźć co podobnego, potrzeba iść nad Kamionkę aż, gdzie codzień wali się taka ruina, a porządny dom bez charakteru zastępuje ją zaraz. To czyni miasto podobnem koniec końcem do norymberskich zabawek dziecińczych jaskrawo malowanych....

Dotąd jednak główne nawet ulice wyjąwszy środek miasta, nie są całkiem regularnie, dzięki Bogu, zamurowane i zastawione. Pomiędzy dwoma kamienicami o trzech piętrach nagle spotykasz dworek szlachecki, staruszek z gankiem na słupkach, obórki, stodółki, ogród lub plac pusty; dalej drzewa i zagony w środku nowo wykreślonej drogi przyjemnie ci wieś przypominają. Na bokach, trochę dalej po skrajach gdzie jeszcze do brodziejstwo bruku niesięgnęło, a błota używać mogą mieszkańcy ile chcą, pełno takich niespodzianek. Chata prosta wieśniacza, buda żydowska niewiedzieć z jakich szczątków zlepiona, pole okryte ścierniskiem, sad owocowy, młyn wietrzny, kilka drzew i szpaler w poprzek drogi nowej, rów śmieciem zarzucony, resztki ogródka kwiatowego... i t. p.

Niknie to wszystko aż nadto szybko przy ogólnym wzroście, ale przecie nam żal że z zupełnie indywidualnej fizjognomii, wkrótce się utworzy spłowiła i pospolita...

Ogromną przestrzeń zajmuje miasto, kończące się na wszystkie strony nie przedmieściami ale wiejskimi folwarcz-

kami, chatami rozpierzchłemi po laskach, domkami w sadach, tem co dawniej stanowiło miasto całe.

Okrażają je takie posiadłości mieszczan dawnych, w których jeszcze nie ma willi na sposób zagraniczny, ale są dworki i chałupy prastare. Wiele drzew i zieloności nadają tym krańcom wesołą minę ogrodu. W miarę jak się zbliżamy do środka i rynku, znikają dworki i drewniane budynki, a nowe mury, zewsząd się wznoszą. Tu już choć porządnie, ale szkoda powiedzieć żeby było pięknie – kamienice! Nie ma nic na świecie mniej dla oka powabnego nad uczciwą kamienicę w miasteczku. Cztery ściany i dach, w ścianach dziury, o więcej nie pytaj. Wielkim przepychem są sztukaterje i gipsatury, a na froncie albo dwa lwy izraelskiego plemienia męznego, godło dziś uzurpowane, albo herby i daty. W gotycyzm, naśladowany z francuskich stołowych zegarów, jeszcześmy się wdawać nie poczęli, ale że to przyjdzie z czasem, mamy niepłoną nadzieję. Styl ten trubadurów już się powoli choć bojaźliwie objawiać zaczyna w strzałkowatych oknach i gankach. Rynek niewielki, stary, od którego wiodła dawniej do zamku ulica, dziś zwana katedralną, już otoczyły murowane domy. Z jednej strony stoi dawny pobernardyński, dziś seminaryjny kościół, założony przez Ilińskich, a przed kilkudziesięcią laty skończony. Budowa to niekształtna i tak nieszczęśliwie wykonana, że niemal przed pokryciem już się w niej mury potrzaskały.

Zasklepić jej nie było można, potrzeba było popodpierać szkarpami, i nie wiem czy i tak długo postoi. Wnętrze dzieli się na główną nawę i dwie węższe boczne, ozdobione wedle możliwości miejscowej ludności, przykładowie pobożnej i licznie do dwóch naszych kościołów uczęszczającej. Nie piękne to ale widać w wielu rzeczach bogobojne staranie i troskliwość w utrzymaniu. W bocznym ołtarzu z prawej strony jest obraz N. Panny, dawniej tu zamieszkałego artysty Fran. Zawadzkiego, który

jest jednym z jego najlepszych; jego także roboty święty Józef, i wielki, przygotowany do głównego ołtarza obraz Przemienienia Pańskiego ze szkicu Warszawianina Tegazzo\*). Ostatniego i ś. Filomeny, wiszącej na jednym z filarów, przy najlepszych chęciach pochwalić trudno; wykonane pospiesznie, wcale nie zwracają oka i nie podnoszą duszy. P. Franc. Zawadzki, człowiek nie bez talentu, dosyć długo mieszkał w swoim rodzinnym mieście Żytomierzu, ale że tu i dla jednego artysty trudno znaleźć roboty, a zdawało mu się że gdzieindziej będzie lepiej, powędrował do Moskwy. Szkoda go ze wszystkich względów... choć go już mamy czym zastąpić. Dziś by może i pracę tu znalazł, a taki na swoim śmiecisku nawet przyboleć lżej każdemu... Może być że w większym mieście znajdzie pomocniczych więcej środków, wzory, miejsce dogodniejsze, gdy tu większe obrazy w tajni malować musiał – ale serc tak sobie życzliwych jakie utracił, trudno by tam znalazł u obcych... Zawsze z nas każdemu zdaje się że gdzieindziej lepiej mu będzie, mamy skłonność do szukania w zmianie miejsca urzeczywistnienia marzeń, ale jakże rzadko człowiek nie płacze po utraceniu! Dla artysty w istocie Żytomierz był miejscem dosyć niedogodnym, zamiłowanie sztuki ledwie się tu rozbudzać zaczyna, a najpierwszych potrzeb braknie zupełnie. Żebrak nawet swej siwej brody i nachmurzonego czoła nie zechce dać za wzór, cóż mówić o innych! a portrety które się maluje w sztywnych mundurach i najświeższego kroju sukniach, wcale nie są powabne.

W niedzielę szczególnie na wielką mszę do kościoła seminaryjnego schodzą się licznie pobożni. Kazanie miewa zwykle

---

\*) Franciszek Tegazzo (1829–1879) – malarz i ilustrator czynny w Warszawie i Petersburgu. Zajmował się także malarstwem religijnym, jego obrazy znajdują się w kościołach Mazowsza. Zob.: Jarosław Maciej Zawadzki, *Franciszek Tegazzo 1829–1879: malarz niespełniony, ilustrator z konieczności*, Warszawa 2009.

jeden z seminarzystów lub księży profesorów. Trzeba przyznać w ogóle Żytomierzowi, że ma poczciwego ducha wiary i do kościoła idzie dla potrzeby! nie dla roztargnienia i zwyczaju. Żadna pora roku nie zmienia liczby mieszkańców, którzy się tu przywykli modlić, a w katedrze miejsca sobie dla szczupłości jej znaleźć nie mogą.

Wyjąwszy kilku excentryczniejszych ubrań, zwracających oczy, ogół pobożnych skromny, i składa się jak sama ludność Żytomierza, z urzędników i klasy średniej. Nie ma tu tego wychodzenia i przychodzenia wśród nabożeństwa, które tak nieprzyjemnie po wielkich miastach uderza, przybyli przede mszą, wychodzą razem po niej.

Wszędzie prawie przy kościołach oprócz ubogich trafiają się sklepiki z różnemi do nabożeństwa służącemi przedmiotami, obrazkami, krzyżkami, medalami, świeczkami i t. p. Tu u nas nietylko palmy w kwietnią niedzielę sprzedają się w kruzganku, ale w podwórzach obu kościołów, szczególnie przy katedrze, jest zwyczaj wystawienia na sprzedaż najrozmaitszych rzeczy. I tak trafia się spotykać w bramie, meble, wazony, stare suknie, najrozmaitszy sprzęt domowy, którego się ubóstwo pozbywa, a nawet czasem i książki.

Wieleż to ciekawych i rzadkich edycji naszych ksiąg kupili moi znajomi pod kościołem. Jest to termin uświęcony, sprzedaje się i kupuje mnóstwo rzeczy pod kościołem; wynoszą pod kościół co kto ma do zbycia, a na co gdzieindziej o kupca trudno. Często u katedralnych wrót przy barjerze widok ztąd najosobliwszy. Tu kupką leżą książki, dalej stary kapelusz kobiecy ze spłowiałemi wstążkami, kilka wazonów pożółkłych, obrazek za szkłem, stolik bez nogi... Przed wielkanocnemi święty, zjawiają się tu całe zastępy form papierowych do bab, i baranki z chorągiewkami. Mniej tego targu przed Bernardynami, ale i tu się spotyka. Nie jest to jeszcze frymark i handel grosza chci-

wy, którego by należało zabronić, po większej części ubóstwo tylko, pilna potrzeba, naglący niedostatek, chwytają się tego środka.

Żydów tu prawie nie widać, a pozór i fizjognomja sprzedających świadczą o ich niewinności. Grosz który tu dostaną, oczekiwany jak jałmużna, często na kupienie chleba służy.

Zwyczaj ten nigdzie mnie tak nie uderzył, i nigdzie do takich rozmiarów zdaje mi się nie doszedł jak tu, gdzie inaczej sprzedaż trudna, kupiec nie wiedziałby gdzie szukać takich biednych towarów.

Jeden z przedmiotów który na mnie największe tu czynił wrażenie, to ta biedne wazoniki, stojące z jakimś wstydem na bruku ulicznym, przywykłe do czystej szyby okienka, do ciepła pokoju, do zacisznego kąta... Jest coś niezmiernie smutnego w tych biedakach, często na chłodzie proszących aby je kto kupił i przygarnął. Na widok pieszczonych tych roślinek przychodzi na myśl izdebka, którą zazieleniały, życie jakieś nieznanne a biedne co się i tej pociechy kwiatka wyrzec musiało... chciałoby się kupić je by oddać temu co niemając już nic zwykownego, tych gości wiosennych poświęcił gwałtownej potrzebie. Inne wrażenie czyni stary kapelusz kobiety który trąci niezrądem, choć nie zawsze w skutek jego przybywa się popisywać na barjerze, inne książki odarte, rzucone na bruk wśród których kupy nieznaczącej czasem i drogi brylant się trafia. Ktoś tu przecie kupił Possewinową Moscovję<sup>\*)</sup>, i to Wileńskie wydanie! Znam biblijomanów co tu uczęszczają regularnie, z wielką przebiegłością udając obojętnych przechodniów, aby żydek na ich fantazją biblijomanów nie nakładał haraczu.

---

<sup>\*)</sup> Antonio Possevino (1533–1611) – dyplomata, legat papieski, jezuita. Przyczynił się do zawarcia w 1582 r. polsko-rosyjskiego rozejmu w Jamie Zapolskim. Pozostawił wnikliwy opis państwa rosyjskiego i rządów cara Iwana IV Groźnego. Zob.: Antonio Possevino, *Moscovia*. Po raz pierwszy w całości przetłumaczył ks. Albert Warkotsch, Warszawa 1988.

Z rynku przed Bernardynami widać szeroki plac przez który bieży szosse, a po nad nim mury cerkwi, niedawno jeszcze wieżą nową górującą nad miastem. Jest to zaprawdę ciekawy dowód jak się to u nas nieopatrznie budują, mamy przykład tego na kościele bernardyńskim, i na cerkwi nowej. Zdaje mi się że mury, z których ją przerobić chciano na większy i lepiej potrzebom miasta odpowiadający gmach, musiały pochodzić z cerkwi fundowanej przez oficjała Prymowicza<sup>\*)</sup>). Tę tedy rozszerzyć przedsięwziąwszy, u wnijscia dano na planie bardzo podniosłą wieżycę, ale nie zastosowano do niej fundamentów, i zdaje mi się że główne wnijscie zbyt dano obszerne, a nie starannie zasklezione. Gdy więc już mury niemal pod dach się wznosiły, a wieża była ukończoną, pokazały się niebezpieczeństwo zwiastujące rysy po nad drzwiami... aż w wigilją ś. Antoniego, pięknej nocy czerwcowej wśród ciszy wiosennej, wieża nie runęła, ale się zsunęła i opadła... Szczęściem nikt życia nie postradał, bo się już miano na ostrożności. Teraz pozostały mury nadwerżone wstrząśnieniem, z których niewiadomo czy co zrobić będzie można.

Na placu tym nieco dalej, jest tymczasowa drewniana cerkiewka, wielkie kramy drewniane, także jatki... i domek przytułku dla sierot. W przyszłości może to być, gdy się obuduje i ozdobi, wcale piękny rynek, ale dziś z tą ruiną świeżą, z nieregularnymi resztkami Wilskiej ulicy, dosyć niepozornie wygląda. W inne strony rozchodzą się ztąd od seminaryjnego gmachu ulice: Kijowska, Katedralna, Berdyczowska, Cudnowska, w różnych przeciw siebie kierunkach. My pociągnięci malowniczością jej, niestety pójdziemy naprzód starą ową Cudnowska uliczką, która nad Kamionkę prowadzi. Dawniej była to

<sup>\*)</sup> Ks. Michał Prymowicz – unicki (grekokatolicki) oficjał kijowski. Dobroczyńca seminarium grekokatolickiego w Żytomierzu. Zob.: Maryan Dubiecki, *Na Kresach i za Kresami. Wspomnienia i szkice*, Kijów 1919, s. 124.

najporządniejsza z ulic i znać to po domach, że się tu naprzód staranniej budować zaczęto... Przy niej stał wielki gmach jezuicki w części rozebrany, a w części obrócony na więzienie. Od miasta idąc, prześliczny tu widok na okolicę, która najbardziej jest malownicza... Ulica nagle spada z dosyć znacznej wyniosłości ku rzece, po za którą w oddaleniu widać brzegi jej okryte lasami, ozielenione, oblane niebieskawem powietrzem. Już się tu przeczuwać daje cały wdzięk tego pejzażu nad Teterowskiego.

Widok z wierzchołka ulicy nagle spadający, na lasy świeże, zielone, piętrzące się na wzgórzach, ten spoczynek dla oka wśród natury niepopsutej przez człowieka... rozwesela, orzeźwia.

Może też sprzeczność żydowskiej, brudnej ulicy i wyziewów otaczających jeszcze miłą czyni tę perspektywę zieloną... Ulica dosyć stromo zbiega ku Kamionce, w części brukowana, w części błotnista i jeszcze zwłaszcza ku rzeczce ciekawe wzory starych domostw przedstawiająca.

Jest to sobie zakulisowa zresztą uliczka, i wcale niedbająca o elegancję. Żydów na niej jak mrowia, więcej fur od młyna jadących niż koczów i karet, chłopków niż panów, i biednych kancelarzystów, wracających do ubogich kwater swych nad Kamionką, niż lwów domorosłych. Tędy wszystkie z miasta konie prowadzą do rzeki i wodopoju, jadą beczki po teterowską wodę na herbatę, praczki niosą na brzeg bieliznę, młodzież w szlafrokach rusza do łaźni, stojącej nad Kamionką bardzo sobie bez ceremonij w niepoczesnym domu. Zjawiają się tu psy, kozy, bydło, i kury grzebiące na śmieciach. Pod parkanami mnóstwo kramików z owocami, przekąskami dla chłopów i ludu.

Życia i gwaru pełno prawie zawsze, nawet w sobotę gdy reszta miasta obumiera chorując na szabas, nieporządku wiele, ale tu jakoś wesoło i oryginalnie. Może samo położenie ulicy, góra,

niezbyt regularne ustawienie domów, widok na dziką tuż okolicę, przyczynia się do jej upiększenia. Im niżej się zjeżdża, tem niepozorniejsze spotykamy domki drewniane, chałupki, parkany, aż przy malowniczej chałupie żołnierza Pareńki, u której uwiązany pies na łańcuchu, naszczekuje na przechodniów, ukazują się pierwsze skały bryły, służące jej za podmurowanie. Tuż stary młyn na Kamionce i rzeczka cała głazami usiana, tak że latem więcej w niej kamieni, niż wody. Droga tędy prowadzi ku Cudnowu, a że grobla przy młynie wiosennemi wody nadwerężona, ledwie dla pieszaków służy, podróżni przebywając rzekę pierwotnym i najprostszym sposobem, to jest wpław. Przez większą też część roku nie ma tu nad kilkanaście cali wody, płynącej od niechcienia pomiędzy starymi głazami, wyszczerbionemi przez koła wielu pokoleń co tędy koło młyna przejeżdżały.

Właśnie to wzgórze, na którym Cudnowska się wznosi ulica i część małej Berdyczowskiej, najdawniej zamieszkanem było, a miasto stare rozciągało się wedle wszelkiego podobieństwa po nad Kamionką klinem ku zamkowi, i ztąd rozpromieniło się dalej a dalej. Życie ztąd uciekło teraz, pozostały stare chaty i domki ubogie, a nowe miasto i nowy żywot posunął się na mokre płaszczyzny aż ku tak zwanym nowym budowom, między którymi a miastem niedawno jeszcze polowano na kaczki. Fizjognomja uliczek nad Kamionką, zachowała się jeszcze taką, jak była przed laty; gdzieniegdzie tylko wyrósł domek porządniejszy i dziwnie od starych, czarnych odbija.

Tak zwana Berdyczowska ulica jest jedną z głównych arterij, a samo jej imie uprzedza, że tędy żydowski handel i ruch ku sławnemu Berdyczowu spływa. Od rynku ma ona pozór bardzo prządny i wyjąwszy małe szczyby, cała ustrojona wielkimi kamienicami piętrowemi, ale w miarę jak się oddalamy od ogniska, place puste gęstsze są, kamienice niższe i ku rogatce już tylko porządne z ogrodami dworki stoją.

Miasto się jednak wyciąga i przedłuża, budowami wielkiego a na pół pustego szpitalu i rozmaitemi kłótkami do przedmieścia Smolanki. Osobno opiszemy okolice, wracamy więc do obrazu samego miasta, i wyjeżdżamy z kolei na Kijowską ulicę, która tak samo jak poprzednia, im więcej się oddala od rynku, tem weselej zieleni. Smutne są tylko szare lub czarne z białem parkany, opasujące wszędzie ulice, gdzie brak jeszcze domów wedle nowego planu stawianych.

Nigdy bym nie pozwolił ludziom wygnać z miast ogrodów które je rozweselają i choć trochę wieś naszą przypominają wygnańcom. U nas zwłaszcza, gdzie ziemi tyle, gdzie cena jej jeszcze tak umiarkowana, można sobie pozwolić tej przyjemności, która zdrowszem powietrzem odpłaciłaby się sownice.

Jeszcze też w Żytomierzu przy bocznych zwłaszcza ulicach, często długie sady spotykać można, a latem przy bramach ich siedzące przekupki, które ledwie zerwane sprzedają owoce.

Kijowska ulica wyjąwszy tego miejsca gdzie nowy dom gubernatorski, kilka zajazdów, sąd główny, i sklep Łąckiego życie skupiają, mało ma ruchu. Nieco opodal, naprzeciw dworca, w którym pierwszym mieszkańcem po ukończeniu jego był panujący Cesarz JMĆ w dniu 3. Września 1857 roku, nowa stoi cerkiew, zbudowana przez starego ruskiego kupca tutejszego, Chabotina\*), własnym kosztem i staraniem. W późnym już wieku, bezdzietny, postanowił wznieść dom Boży, prawie wszystko co miał poświęcając na to, i dziś niewidzianej już dał dowód gorliwości, sam doglądając budowy. Nieraz wieczorem, gdy robotnicy kończyli pracę, widzieć go było można na ławeczce pod murem, rozplącającego się z mularzami, i z skórzanej to-

---

\*) Michaił Chabotin († 1861) – żytomierski kupiec, który w 1856 r. ufundował cerkiew pw. św. Michała w Żytomierzu. Obecnie w tej świątyni mieści się Sobór Katedralny UKP Patriarchatu Kijowskiego. Jako fundator świątyni został pochowany pod jej prezbiterium.

rebki dobywającego grosza, a ten starzec z siwą brodą, rachujący się tak pod gołym niebem z robotnikiem swoim przypominał stare czasy.

Oprócz mnogich kupców rosyjskich, przybyłych tu i osiadłych w ostatnich czasach, Żytomierz ma znaczną liczbę Rozkoliczków, to jest staroobradzców, z głębi Rossij tu zbiegłych dla swobodniejszego zachowania obrządku, którego się z dziwną wytrwałością trzymają.

Ulica dawniej Pilipońska zwana, dziś Petersburgską, tym osadnikom winna swoje nazwisko; mieli oni przy niej starą kapliczkę drewnianą, którą obalono przeprowadzając nową boczną ulicę. Dziś w domu jakimś odprawiają nabożeństwo. Liczba tych wychodźców, spokojne i ustronne wiodących życie, nie zdaje się wielka; mężczyźni i kobiety zachowali strój narodowy, dość dziwaczny, z krótkimi przyodziewkami, oszytymi futerkiem, które się zowią ogrzejduszkami. Trudnią się rzemiosłami, ogrodnictwem i handlem.

Na szerokiej nowej ulicy, będącej dawniej ich siedzibą, mało ich teraz widać, w święta tylko strojem wyróżniają się kobiety, podpasane pod pachami, w kolorowych czółkach i kaftanikach króciuchnych, siedzące przed domostwy lub przechadzające się powoli.

Ulica katedralna a dawna zamkowa, wiedzie do kościoła głównego, w obszernym stojącego dziedzińcu. Budowa to szczupła bardzo na Żytomierz, z XVIII. wieku, niedawno wyrestaurowana, porządna we środku i miła, z pięknym organem nowym, ale tak ciasna, że w dni uroczystsze często z narażeniem życia prawie się wchodzi, taki tłum ją zalega.

Gwałtowną byłoby potrzebą dla miasta, rozszerzenie katedry, i zastosowanie jej rozmiaru do pomnażającej się ludności. Dwa kościoły, ten i po-Bernardyński zaledwie zmieścić w sobie mogą pobożnych; trzecia kapliczka, dawniej P. P. Miłosierdzia, oddalona od miasta, nie wiele na to zaradza.

Klasztor ten stoi nad brzegiem Teterowa, w najpiękniejszym położeniu, na wzgórzu nad rzeką, wśród której gdzieniegdzie u brzegów i w łożysku sterczą szare skały, a podniosłe obrywy pokryte są bujną zielonością. Widok z klasztoru i na klasztor dziwnie malowniczy, jak wszystkie okolice Teterowa, który płaci za swą niespławność, krajobrazami niezrównanego wdzięku.

Chociaż miejsce wybrane na klasztor jeszcze nie daje całkowitego wyobrażenia o piękności brzegów rzeki, w swoim jednak rodzaju bardzo szczęśliwie potrzebom takiego rodzaju instytutu odpowiada. Tuż przy dosyć obszernych murach zasadzony drzewy stromy rzeki brzeg, z którego widać w głębi siną wstęgę Teterowa, a na przeciwnej stronie zielonością obrosłe wzgórze... Woda wszędzie tu prawie ściśniona skałami, przerzyna się przez nie wijąc kapryśnie, a nad nią zwieszają się bujne wierzby i łązy, i poplątanych zarośli gałęzie. Oko idąc nad biegiem dalszym rzeki, gubi się w sinych oddalonych pagórkach, pokrytych lasami...

Kapliczka tutejsza przeznaczona dla miejscowych, w porze błotnistej niedostępna, nie posługuje miastu wcale. Oprócz niej nie mamy więcej kościołowi a obrządku wschodniego mieszkańcy tutejsi, nie lepiej są uposażeni. Małeńki drewniany budynek, ostatniemi czasy postawiony, szczupły bardzo, Chabotina cerkiew, i wiejskich parę cerkiewek, oto wszystko. Był czas nawet, że główne nabożeństwo odprawiało się w bardzo lichym domu przy Wilskiej ulicy, grożącym niebezpieczeństwem... Najlepiej to wszystko świadczy o świeżym jeszcze wzroście miasteczka, które o pierwszej potrzebie duszy pomyśleć i zaradzić na nią nie mogło dotąd.

Z innych względów miasto nie lepiej zaopatrzone; mamy wprawdzie gmach teatralny bardzo porządny, wzniesiony świeżo, ale za to na szkoły nie mamy pomieszczenia, i gimnazjum najmuje domy u żyda dosyć niewygodne i niestosowne.

W domu miejskim, także świeżo wyporządzonym, mieści się klub miejscowy, a wielka sala tutejsza służy na wszystkie bale i koncerty. Salon główny pomieścić może dwieście kilkadziesiąt osób, a drugie tyle gdy boczne pomieszkania zostaną zajęte, ale na ówczas już obrócić się trudno i ciasno. Na galerji, dla muzyki i widzów przeznaczonej, ledwie kilkadziesiąt osób wygodniej można ulokować. Klub jak wszelkie kluby i resursy po miastach, służy głównie za miejsce przyzwoite schadзки dla tych, którzy niemając zajęcia, chcą pograć w bilard lub preferansa. Ale do tego rodzaju życia nie czujemy wcale popędu, kto nie ma rodziny szuka jej sobie u przyjaciół i cudzy dom przyswaja; z tego powodu klub mało uczęszczany.

Tu może miejsce powiedzieć o życiu społecznem w Żytomierzu, wcale nie miejskiem zresztą, i wiecej jeszcze wioskę przypominajacem. Żytomierz jak pod stare swe czasy jest mieszkaniem szlachty, która tu z sobą swój obyczaj, zamiłowanie ciszy i małego kółka przynosi. Wszyscy żyją jak na wsi dobrzy sąsiedzi, nie wystawnie, po gospodarsku i wiecej doma niż za domem.

Otwartsze domy sprowadzają czasem ludzi różnych kótek chwilowo w jedno grono nie spójne, ale te spotkania ich nie łączą. Wszyscy się mniej wiecej znają, mało kto z sobą żyje, każda rodzina i dom ma swoje małe kółko, które jej wystarcza, trochę zachwytując do niego z wyższych i średnich sfer społeczeństwa. Ale człowiekowi jakkolwiek potrzeba ludzi, i bez nich ani się żyd nie godzi ani można czyż znowu wielki tłum lepszy? czy nie wielkie a serdeczne a przyjazne kółko?

Nie ma wprawdzie w Żytomierzu ognisk, które by do zbytku skupiały liczbę wielką, lecz nie brak kótek takich spójnych i połączonych harmonią pojęć, położenia i potrzeb, które sobie wystarczają. Ztąd wielka swoboda stosunków i życia, nikt nie potrzebuje nastawiać się, wydymać, równać z bogatszymi i do

nich przybliżyć, każdy zachowuje swój obyczaj i w swoich właściwych trzyma się granicach. To odosobnienie różnych warstw społeczeństwa, nie czyni ich sobie nieprzyjaźniami, spotykają się, łączą, mieszają, lecz każdy później do swojej sfery powraca. Rodzaj życia powszechnie nie wystawny, skromny, cichy, balów mało, wieczory w kółku niewielkiem, nawet gra nie jest, od niejakiego czasu przynajmniej, zapamiętają i gwałtowną, bo w ogóle obyczaje, jak na miasto, skromne, przyzwoitość największa i zbudować się można, tak tu mało jeszcze dzięki Bogu życia miejskiego. Zdrowe wsi powietrze zawiewa jeszcze do miasteczka, a zwyczaje wioski panują tu dotąd.

Zbytek tak mało jest potrzebą mieszkańców, że gdyby się kto nań chciał silić, trudno by żądania wykwinniejsze miejscowemi środkami zaspokoił. Magazyny nie sprowadzają rzeczy zbyt kosztownych, na odbycie ich nie mogą rachować, a ponieważ w rzeczy nawet pierwszej potrzeby nie bardzo są za możliwe.

Handel z małemi wyjątkami, zostaje tu na tej jeszcze stopie co na Wschodzie i w Krymie, gdzie prosić niemal potrzeba ażeby kto co sprzedać raczył, a na żadną z kupca strony grzeczność i uprzedzenie rachować nie można.

Jedni żydzi zapobiegli wsi i natrętniejsi stanowią wyjątek, reszta kupców naszych nie może się do Europejskich policzyć, taka w nich nie mówię obojętność fatalistyczna na sprzedaż, ale zagrażający brak grzeczności, którąśmy wszędzie spotykać przywykli. Potrzeba przyjechać powozem, być bardzo pięknie ubranym, i płacić bez szemrania, a nie wymagać pokazywania towarów... to się bez niesmacznych przymówek obejdzie. Jakżeby to potrzeba ich wyprawić na naukę do Londynu, gdzie najobdartszy ulicznik może połowę sklepu przewrócić, nic nie kupić, i jeszcze go z ukłonami do drzwi przeprowadzą, tak się to zda naturalnem. Ale minąwszy to nieukształcenie komissan-

tów, same magazyny dzięki Bogu nie tylko nie są zbytckowne i na wielką skalę zasposobione, ale w nich nad kilkadziesiąt łokci jednej materji, nad kilka jednakich rzeczy nie szukać. Serwisy porcelanowe na dwanaście osób, okrycie na meble na sześć krzesel, butelek jednakowych tuzin, trudno o więcej. Bardzo by to było chwalebne i dobrem, gdyby ceny były przystępniejsze, a towar jadalny i napoje odpowiadały innym. Ale tu tego wychodzi nad miarę, więcej niż innych rzeczy zbytku.

Taż sama skromność w zajazdach i hotelach, których tu nazwisko nawet nie jest znane. Powszechnie gościnnością płatną zajmują się sami żydzi, i domy ich wykwinem się nie odznaczają.

Przy traktjerze Bellot'a jest parę pokojów nie lepszych od innych, ale wygodniejszych dla tego że sie struć można na miejscu, nie wychodząc z domu. Oprócz tego mnóstwo zajazdów, w domu Dobrowolskiego, Laudańskiego, na Cudnowskiej ulicy, a nawet na Wilskiej gdzie jeszcze są gospody starą formą dla pana i koni pod jednym dachem. Każda z tych gospod ma swoją charakterystykę odrębną. Wyższy ton zajężdza do Bellot'a, do domu Dobrowolskiego, Laudańskiego lub sąsiedniego nie dawno urzązonego domostwa; średnia klasa do Preskiesa i Hamermana, do Rauszy wręście, a ludzie lubiący co tanie do mniejszych zajazdów na Cudnowskiej lub Wilskiej. Przy każdym z tych domów jest faktor, vulgo zwany *Myszures*, *homme a tout faire*, który że nie jest płatny i owszem sam często gospodyni płaci za pozwolenie obdzierania podróżnych, korzysta też z tego prawa jak może. Gotów za grosz na wszystko, melduje paszport, najmuje konie, sprowadza kogo potrzeba, kupuje, handluje, a na każdej rzeczy stara się zarobić, bo to jego rzemiosło. Błoto go nie ustrasza, śnieg nie szkodzi, deszcz go ochładza, wiatr rzeźwi, uderzenia rozbudzają do czynu, łajanie wywołuje energją, przekonanie o kradzież nie rumieni, i by-

leby mu zapłacono, na nic się nie wzdrygnie. Myszuress zna całe miasto z widzenia, mieszkania głównych dygnitarzy, domy znaczniejsze, rynkowe wypadki, głośniejsze historję, nawet cichsze skandale, rozpowiada czasem dowcipnie a zawsze złośliwie, i z nieinteresowanemi osobami jest prawie zuchwały, za to z temi co mu płacą aż do chwili odjazdu najpokorniejszy. Na każdym kupnie musi coś sobie ukręcić, i w ostatniej godzinie niebezpiecznie mu powierzać pieniądze do zmiany... Dla obcego jest to factotum bez którego obejść się nie podobna, świadczą się tymi co bywali w Kijowie, gdzie już ów myszuress nie istnieje...

Jako ułatwienie do przenoszenia się z miejsca na miejsca, są tu do najęcia tylko *parki* czyli dorożki, maleńkie niekryte powoziki, dosyć niewygodne, któremi się potrzeba kontentować, bo nic innego znaleźć nie można. W Kijowie dodatkowo dostać się czasem trafia faeton, który siedm do ośmiu rubli dziennie się płaci, a nasza parka mniej niż połowę bierze, dosyć trzęsie i niekiedy się łamie w pośród drogi. Dorożkarze daleko są mniej rażni niż Warszawscy, a że po większej części nie na swoją rękę przemysłem tym się trudnią, dosyć obojętnie około tego chodzą.

Brukowa ludność miasteczka na różnych miasta wysokościach wcale jest odmienną, ale naprzód o luminarzach stolicy... Zaczawszy od naczelników to jest gubernatora, vice-gubernatora, prezesów, marszałka gubernialnego i powiatowego, biskupów dwóch, sędziów, deputatów którzy niejako urzędową arystokracją składają, głównemi figurami są po nich niżsi urzędnicy i zamieszkująca tu szlachta, już dla wychowania dzieci, już dla kuracji lub wprost przepędzenia zimy w liczniejszym towarzystwie. Każdą z tych postaci po koniach, powozie, ludziach i po twarzy zna miasteczko doskonale, a nawet odgadnąć może z pory dnia i kierunku gdzie kto jedzie i do kogo.

Równie na ulicy znane są oryginalniejsze postacie, które się częściej widuje wędrujące do klubu, do Bellot'a, do Rinneberga i Łąckiego, do Bartoszewicza i Minella. W ulicy wszyscy niemal się znają, nowo przybyła postać uderza zaraz i odbija od poprzedniego ogółu. W tem jeszcze wiele jest wiejskiego, nie wielka liczba powozów i koni pozwala je łatwo spamiętać, pewna jakaś fizjognomja swojska pozwala odróżnić autochtonów od wędrownych z gubernij. Mała rzecz, czapka, futro, surduty wnet wskażą obywatela od Włodzimierza, który się ubiera w Warszawie i Lublinie, od Krzemieńca co sprowadza elegancje z Galicji, i Owruczanina który w błogiej prostocie nosi długie poły wśród krótkich, i przycina je gdy znowu długie się poczynają.

Ten poczciwy i zacny powiat Owrucki, który z Radomyńskiego częścią i Mińskiej gubernij jeden lesisty i błotnisty kraj stanowi, niesłusznie tu może ma sławę zapadłego świata krańca, do którego nic prędko nie dochodzi, i gdzie obyczaje prastare dotrwały do dziś dnia. Może być że złe drogi, wielkie przestrzenie, błota, lasy i t. p. są złemi przewodnikami nowości, ale z natury swej to być musi kraj konserwatystów, których jako przechowywaczy tradycij poszanować należy. Śmieją się ze szlachcica Owruckiego, ale on ma także swe posłannictwo broniąc się przeciw nowościom i święcie przechowując podania, obyczaje i przesady naddziadowskie. Może być że Owruczanin nawet w Żytomierzu wydaje się śmiesznym tak jako Żytomierzanin w Warszawie, ale cóż na świecie dla lekkich umysłów śmiesznym nie jest? Duch obywatelstwa i spójności tu się przecie zachował lepiej niż gdzieindziej.

Powiaty także mają swą charakterystykę. Tak Łucki ma sławę z gorliwości obywatelskiej szlachty, która w sobie starego ducha sejmikowego dotąd nie wygasła, Kowieński jest arystokratyczny i elegancki, Owrucki starszszlachecki i zacofany, Zasławski składa się prawie z jednego tylko obywatela, X. San-

guszki\*), który jest posiadaczem trzech czwartych może części powiatu, Konstantynowski uchodzi za bogaty i skąpy i t. p.

W Żytomierskim najtrudniej zawsze bywało utrzymać się urzędnikom, tak widać wiele od nich wymaga no i przerzucono nimi: najobficiej tu sypano negatywy.

Najuboższymi bezsprzecznie są powiaty Owrucki, który przy obszernych ziemiach mało ma środków korzystania z nich, podobny mu z wielu względów Kowelski, po nich część Łuckiego poleska, zamożniejszymi Dubieński, Kowieński, Ostrogski, Zasławski, Konstantynowski...

Wyjąwszy gwałtownych potrzeb i interesu do miasta, lub wyborów urzędników które co lat trzy przypadają, szlachcic nie chętnie przyjeżdża do Żytomierza i bawi w nim jak na szpilkach siedząc, rad się wyrwać co rychlej, tak że często wieczorem otrzymawszy rezolucją, w nocy zaraz ucieka do penatów swoich.

Nic go tu nie zaciekawia, nic nie bawi, nie pociąga, nie nasycza, a wszystko przestrasza i nudzi, chodzi, stęka, boleje, rzekł byś na stomilowem wygnaniu, liczy dni, godziny, chodzi na dzień po sześć razy do sądu, odsyłany od dnia do dnia, i modli się żeby go Bóg od przyjemności prowincjonalnej stolicy uwolnił. Tymczasem najgrzeczniej go tu przyjmują, zabawiają, zapraszają, karmią i poją, a jeśli za to na jaką składkę, loterję dobroczynności dać jaki grosz musi, toć go nie zuboży. Ale nie wiem czemu przywykły do kapoty i kożuszka domator, zmuszony kłaść frak i rękawiczki, tęskni do zagrody nad wyraz wszelki, niecierpliwi się i pobyt w miasteczku zatruwa mu ten niepokój. W mieszkaniu przy widuje mu się czad, u Bellot'a

---

\*) Sanguszkowie – magnacki ród książęcy, będący gałęzią litewskiej dynastii Giedyminowiczów, a wywodzący się od przyrodniego brata króla Władysława II Jagiełły Fedora, syna Wielkiego Księcia Litewskiego Olgerda, syna Wielkiego Księcia Litewskiego Giedymina. Ostatnim ordynatem zasławskim był książę Roman Damian Sanguszko (1832–1917).

szkodzi mu jądło, turkot nie daje spać w nocy, we dnie niecierpliwią ludzie, z którymi ma do czynienia...

Rozjaśnia mu się oblicze dopiero gdy rezolucją ma w kieszeni, i robiąc sprawunki, zabiera się do odjazdu. Naówczas inny z niego człowiek, ściska się, całuje, kocha i byleby go nie prosić żeby się zatrzymał, na wszystko gotów w świecie.

Pierwszych dni po przybyciu do miasta obywatel jest najlepszych nadziej, wszyscy mu poobiecywali, że interes się wprędce ułatwi, śmieje się, bawi, podzartowuje i niedowiaduje nawet do plenipotenty. W parę dni spotykają się niespodziane trudności, których zawsze jednak spodziewać by się wypadało; trochę go to niecierpliwi. Zdobywa się na ofiary i oczekuje skutku. Ale tydzień płynie za tygodniem, rano obiecują mu na wieczór, wieczorem odsyłają do rana, i tak codziennie odbywa pielgrzymkę Dantowskich potępieńców, odnawiającą się bezustannie, aż w końcu nadzieję traci, i ponurą gryzie się rozpaczą. Naówczas omijać go trzeba na ulicy, bywa w usposobieniu niebezpiecznym.

Gdyśmy już tego dotknęli, mówmyż o tem jak się u nas robią interesa powszechnie. Jedni je powierzają pełnomocnikom, co koło nich mniej więcej dobrze i żwawo chodzą, drudzy przekonani, że sami lepiej sobie radę dadzą, przyjeżdżają, in persona attentując. Pierwszego tedy dnia rozpoczynają wizyty do gubernatora, marszałka i urzędników, którzy grzecznie ich przyjąwszy, odprawują pełnych najśłodszych nadziej. Ale w natłoku interesów jak o sprawie pamiętać, a co gorzej, jak o niej powziąć wyobrażenie z jednostronnego opowiadania. Nie zawsze więc przy najlepszych chęciach zrobić co można i to jeszcze tak prędko jakby sobie życzył interesowany. W kancelarych idzie to wszystko wedle form pewnych powolnych, niekiedy umyślnie utrudnionych, i co krok spotyka zawady, które różnemi kluczami otwierać potrzeba.

Jeżeli mający sprawę spuści się na miejscowego, znającego stosunki człowieka, ten nie wielkim kosztem i w prędszym czasie potrafi wyjść z tego labiryntu, w którym obcemu ani się poląpać, ani nic zrozumieć nie można. Mniej więcej wszyscy obiecują grzecznie, odprawiają utuczonych nadzieją, ale wkrótce odbierają ją i skutek zawodzi. Żal prawdziwie biedaków, którzy wycierają przedpokoje kancelarj, stojąc na straży, kłaniając się nisko, i próżno podpierają się obietnicami wyższych urzędników. Przewaga kancelarji prędzej później najlepiej popartym z góry, musi się dać uczuć. Jeżeli wręście interes zostanie zrobiony za protekcją starszyny, pewnie w papierze znajdzie się jakiś frazesik nie do zgryzienia, jakiś kruczek i niepełność, którą wypadnie dopełnić. Bez dobrej woli maluczkich którzy sami najwięcej pracują, i na których machina się obraca, próżno by się myślało co zrobić. Nie życzyłbym więc nikomu ani samemu brać się do interesów, ani ufać w protekcje, jeżeli chce oszczędzić sobie czasu i kłopotu.

Jak tutejszy świat żyje i co go zajmuje, nie łatwo na pierwszy rzut oka wyrozumieć, trzeba tu długo pożyć, wejść w różne towarzystwa kręgi, i obeznać się z ludźmi, którzy nie wiele na zewnątrz i na pokaz robią, a kryją się prawie z uciechami i zajęciem. Zabawy publiczne jeżeli do nich nie przywabia ciekawość, nie są ani licznie uczęszczane ani ożywione bardzo, skupiają one ludzi mało sobie znanych, nie poufałych, ostrożnie się o siebie ocierających, ztąd sztywność w nich jakaś, obawa, i koniec końcem każdy spogląda, patrzy, a mało kto żywy udział bierze w czynnej zabawie. Bale klubowe, wieczory z rozmaitych powodów dawane w mieście i za miasteczkiem w których się tłum naciska, skupiają wprawdzie na chwilę, dają przedmiot do gawęd na długo, niekiedy wyrodzą jakie nieprzyjemne zajście, ale nie zadowolniają nikogo. Wszyscy wolą w swoim małym gronku się zbierać ze swobodą jaką daje do-

bra znajomość, przyjacielskie stosunki i jednakowe w społeczeństwie położenie. Szumnych zabaw nie lubi Żytomierz, nie ugania się za niemi, i ma w tem najzupełniejszą słusność. Teatr, który od czasu wzniesienia gmachu na ten cel służącego, pociąga dosyć publiczności, jest dla niej i powinienby być re-sursem wielkim. Ale tu największa rozmaitość zdań i upodobań niedozwala nigdy w smak publiczności trafić, choćby się o to starano najwięcej. Jedni mają swoich ulubionych artystów, a uprzedzeni są przeciw reszcie, drudzy pragnęli by co spektakl nowej sztuki, a ogół jak zwykle na prowincyj, chce nadewszystko dramatu. Jest to upodobanie którego sobie wytłómaczyć nie łatwo, a choć na pozór dziwi, w głębi jego może tkwi popęd ku czemuś wznioślejszemu i lepszemu.

Powszednie życie jest aż nadto prozą i rzeczywistością, nie dziw więc, że znużeni niem pragną poezji i ideałów, czegoś z innej obcej sfery, coby ich chwilowo rozgrzało i podniosło. Na nieszczęście dzisiejszy dramat wcale nie jest karmią zdrową, a ideału w nim zbyt mała doza, obok zbytku namiętności i zbrodni. Wszelkie jednak podnioslejsze uczucie, myśl szlachetna, słowo nawet czarodziejskie co w sobie zamyka poryw ku dobru, wzbudza w widzach zapał, który im zaszczyt przynosi. Na komedje choćby te były Fredry, jeszcze u nas czas nie przyszedł najlepiej grane skupiają ledwie garstkę widzów, ale nie pociągają tłumu, który lada dramat sprowadza. Powtarzam, że ściśle rozebrawszy ten fenomen moralny, zresztą powtarzający się prawie wszędzie na prowincjach, w głębi jego znajdziemy pragnienie podniesienia się. Nie zbrodnie i gwałtowne sceny namiętności ciągną publiczność, ale szlachetniejsze i wznioślejsze uczucia, które za niemi idą w parze. Jest to chęć wyjścia choć na chwilę z zadania rzeczywistości chłodnej, w której często nie ma miejsca na tęsknotę za ideałem, i uczucie głębsze; jest to poryw ku dobremu, któremu z trudnością teatr podołać

może przy dzisiejszym stanie literatury dramatycznej. Teatr musi po większej części uciekać się do starego swego repertuaru, aby odpowiedzieć powszechnemu zadaniu, do tragedij niemieckiej, do francuskiej nawet raczej, niż do dramatu dzisiejszego, który w gwałtowne obfitując położenia, budząc namiętności, nie daje na zburzone lekarstwa. W sztukach tych choć jest uczucie cnoty i moralna nauka, zdają się one tylko dla decorum i przyzwoitości przylepione, ale ich ciepło nie ogrzewa utworów, dla rozjutrzenia tylko ciekawości, dla płochego opisu wymyślonych.

Żytomierz jak inne miasta często też zwabia wędrownych koncertantów, a nawet sławniejsze w świecie muzykalnym imiona, ale upodobanie w muzyce nie doszło jeszcze do tego stopnia, by nie doznawali zawodów. Mało który z nich zadowolniony wyjechał z Żytomierza. W istocie gronko diletantów i amatorów bardzo jest szczupłe, a ogół dosyć na muzykę obojętny, i chyba ciekawość posłyszania kogoś po świecie rozślawionego, potrafi go liczniej zgromadzić.

Wszędzie też podobno pora tych popisów minęła, pojęcia o muzyce znacznie się zmieniły, ludzie od niej czego innego wymagają, nie igraszki i zręcznych figlów, na których mniej więcej każdy się koncert kończy. Muzyka stara i poważna, to co prawdziwie muzyką nazwać się może, coraz więcej do serca przemawia; pragniemy arcydzieł nie zabawki. Ztąd już zamiast lóżnych popisów instrumentu jakiegoś, wolemy zbierać się w muzykalne czwórki, dwójki i trójki, i dla przyjemności muzyki wyrzec miłości własnej, która też solistów do zbytku dotąd wysoko wynosiła.

Jest to opamiętanie się bardzo w porę i słuszne, bo też w chwili szafu jakiegoś w całej Europie, zbyt jakoś zapamiętałe przyklaskiwano koncertantom i wirtuozom i tylko co dla nich nie wyrzeczono się muzyki. Lada zręczny żydek zbierał i laurów

i głośnych pochwał i pieniędzy daleko więcej, niż przez swe całe życie Hajdn, Mozart i Beethoven; kobiety szalały za nimi, mężczyźni najszcześniejsi byli, czyniąc się ich dworakami i pochlebcami, tłum dobijał się do sal, w których odbywać raczyli popisy, znoszono ich kaprysy, dziwactwa i niegrzeczności, a z koncertów tych człowiek wychodził zdziwiony, odurzony i nie uspokojony. Z pochwał, jakie im oddawano można było wnieść, że to istotnie byli genjusze, a jednak w kompozycjach ich po większej części nic nie znalazłeś nad szum, mierność i pospolitość. Wykonanie podnosi o te drobnostki, entuzjazm nadawał im znaczenie, jakiego nie miały, niezajomość rzeczy podnosiła je stokroć nad istotną wartość. Wpłynęło to nawet na sfalszowanie o muzyce pojęcia i skrzywienie smaku, który do lekkich i popisowych zwracając się sztuczek, muzyki poważniejszej pojąć już nie mógł, i na prostocie genialnej mistrzów nie umiał się poznać.

Koncertanci przecię zawsze odegrywali rzeczy tylko swoje, co najłatwiej, karmili zręcznością, a rzadko z nich który nawet był w stanie do surowszej przystąpić muzyki.

Dzisiejsza więc reakcja przeciw nim jest opamiętaniem się w porę, a ocenienie pięknego wykonania należyte, postawić ich powinno na stopniu, który zajmować mają, nie na tym, który przywłaszczali. Była chwila istotnie, że błyskotliwa ich sława ćmiła największe jeniusez muzykalne, lada dwunastoletni dzieciak, któremu palce wyłamano, stawał wyżej Mozart'a, lada wirtuoz lekko mówił o dostojnikach sztuki, a że dziś odesłano ich na miejsce właściwe, nic złego.

W ogólności miasteczko nasze mało jest muzykalne, i wykształcenie jego w tym względzie potrzebuje czasu jeszcze; jednakże fortepian jest wszędzie w największem użyciu, i nie ma domu, gdzieby dwóch, lub przynajmniej jednego nie było, a idąc ulicą więcej się gamm niż żydów nawet spotyka.

O malarstwie mówiliśmy nieco wyżej, i nie ma się co dziwić, że na prowincyj, gdzie dzieł sztuki braknie, wzorów dobrych mało, sposobności oswojenia się z nimi nie ma prawie, upodobanie w w niem nie rozwinęło się jeszcze.

Wszakże powiedziałbym prawie sądząc z wielu próbek o ogóle, że Żytomierz więcej jest przygotowany do poznania się na pięknym obrazie niż na dobrej muzyce, choćby o tę łatwiej. Trafia się, że ktoś zachwycony zostanie ślepem naśladowaniem natury, kolorytem świetnym, ułudną stroną obrazu, lecz w ogóle sąd o utworach malarstwa dosyć jest trafny i sprawiedliwy. Tysiącokroć mogliśmy się o tem przekonać.

Ubolewać tylko należy, że fotografia i fotografowie codzien liczniej przybywający, swojemi produkcjami krzywe pojęcie o pięknie i prawdzie sztuki wszczepiają, i upowszechniają to zimne powtórzenie natury, które prawdziwością swą nęci, a w istocie nawet prawdy materialnej nie daje, i pozorem jej ludzi tylko, ducha zaś nigdy nie schwyci.

Zdziwi się nieznający Żytomierza, gdy mu powiemy że prawie nie mamy księgarni. Jest jedna, ale w najosobliwszy sposób urządzona z obojętnością nam właściwą, w której książek mało, drogie, a o kupienie ich dopraszać się niemal potrzeba. Nowości przybywają do niej gdy się już dobrze postarzeją, a ceny są tak fantazyjne, że mało kto zmuszony do kupna, odważy się na nie. Księgarnia ta jest dla nas jak większa część sklepów zagadką, zdaje się bowiem, że właściciel nietylko się nie stara o powiększenie odbytu, ale usiłuje się od niego uwolnić, podnosząc ceny nad miarę i zrażając kupujących obejściem z nimi prawie niegrzecznem. Przytem zasób księgarni wcale potrzebom miasta nie odpowiada, i nikt też do niej nie zachodzi, chyba przyciśniony jakąś ostatecznością. Ceny nie licząc pięćdziesięciu procentów zysku, wyższe są od zwykłych katalogowych. Maleńki drugi handelek ma żyd introligator, wedle starego obyczaju

kumulujący dwa powołania, oprawiacza i kupca książek; ale tu ledwie parę set tomików wala się na pułkach, srodze od much popstrzonych. Chcący więc czytać i mieć książki nowe, zmuszeni są albo nabywać je w bliskim Kijowie, lub sprowadzać od innych księgarzy z Warszawy, a nawet z prowincji, gdyż Dubno, Łuck i małe miasteczka lepiej są w tym względzie uposażone od Żytomierza.

Przed niedawnymi jeszcze czasy, nad parę exemplarzy Tygodnika Petersburgskiego<sup>\*)</sup>, nie było tu gazet prawie, dziś sądzę że po kilkanaście każdej znajomszej naliczyć by można; potrzeba czytania znacznie wzrosła, zamiłowanie i zajęcie literaturą codzien się pomnaża.

Jakkolwiek jeszcze liczba tych, których ona obchodzi jest nie wielką, już obiecuje na przyszłość. Książki nowe są poszukiwane, przechodzą z rąk do rąk, zajmują się nimi, mówią o nich, chwytają. Nie można zaprzeczyć żeby to nie był znak dźwigającego się ku lepszemu społeczeństwu. Są złe książki to pewna, są szkodliwe, lecz z czytania w ogóle najlepsze wypływają skutki, i literatura jest środkiem cywilizacyjnym pożytecznym, ona kształci społeczność, i sama przez nią będąc rządzoną, wpływ swój na nią wzajem wywiera: Cieszymy się więc im niżej i głębiej w społeczność przechodzi potrzeba czytania, oświecenia się, myślenia. Człowiek poczyną od przyswojenia sobie myśli cudzej; ale ją przerabia dla siebie, budzi ona w nim własną, zmusza do wewnętrznej pracy, i podnosi powoli nad czystomaterjalne życie powszednie, które bez promyka światła ideału stało by się nieznośnem.

Cieszyć się więc należy, gdy powoli w potrzebę wchodzi czytanie, nie żebyśmy pragnęli powiększenia liczby literatów i lite-

\*) „Tygodnik Petersburski” – pismo polityczno-literackie w języku polskim, wydawane w St. Petersburgu w latach 1830–1858 pod redakcją Józefa Emanuela Przecławskiego i Franciszka Malewskiego. Ze środowiskiem „Tygodnika Petersburskiego” przejściowo był związany Józef Ignacy Kraszewski.

ratek, bez których obejść się można, ale że książki kształcą, podnoszą, uczą człowieka jego obowiązków, i zmuszają do pojmowania życia na serio. Zaczęto i u nas już narzekać przeciw książkom, ich liczbie i rozpowszechniającemu się zamiłowaniu w czytelnictwie; ale to dziwactwo kwaśnych humorów chyba ich fantazją usprawiedliwić się może. Dziś czytamy może więcej, pobieżniej, lżej, inaczej, ale i w dawnych wiekach u nas czytano także nie mało, a dowodem tego wszystkie inwentarze i testamenta, w których przy najszczuplejszym mieniu zawsze prawie wymienione są rękopisma i książki. Pierwszy to podobno zauważył Bizardiére\*), że w Polsce każdy prawie szlachcic był zbieraczem materiałów historycznych i notat do współczesnych dziejów. Księgi te, poczęte przez pradziadów, kończyli wnukowie, powoli do nich wpisując, co powszednie życie przyniosło. A że każdy więcej żył życiem publicznym niż domowym, dla tego też raczej to są poważne aktów zbiory niż pamiętniki, choć w nich i człowiek sam i rodzina występują czasami. Oprócz tej książki, spisującej życia codziennego w kraju dzieje, każdy szlachcic niemal miał biblią lub nowy testament, a co najmniej Ewangeliczkę, kronikę Bielskiego\*\*) lub Strykowskiego\*\*\*), Kromera\*\*\*\*), Gwagnina\*\*\*\*\*), żywot Chrystusów,

---

\*) Michel David Bizardiére – historyk francuski.

\*\*) Marcin Bielski (ok. 1495–1575) – żołnierz, historyk, autor *Kroniki Polskiej* (wyd. Kraków 1597).

\*\*\*) Maciej Strykowski (1547– między 1586 a 1593) – polski historyk i poeta. Autor dzieła *Kronika Polska, Litewska, Zmudzka i wszystkiej Rusi* (wyd. Królewiec, 1582).

\*\*\*\*) Marcin Kromer (1512–1589) – humanista i historyk, bp warmiński (od 1579 r.). Autor kilku dzieł poświęconych historii Polski.

\*\*\*\*\*) Aleksander Gwagnin (Alessandro Guagnini) – polski historyk, żołnierz i dziejopis pochodzenia włoskiego. Autor dzieła *Sarmatiae Europaeae Descriptio* (1578) – *Kronika sarmacji europejskiej* (przetłumaczona w 1611 r. przez Paszkowskiego).

kantyczki, poezje Kochanowskiego<sup>\*)</sup>), herbarz choć jeden w którym poprawki notował, czasem dodatkowo *Argenidę* i *Syloretę*<sup>\*\*)</sup>), a dobry plik mów, panegiryków i świstków, w które go księża i miasteczko zaopatrywało. W wolnych chwilach, wieczorami zimowemi, czytywano po obiedzie żywot Skargi<sup>\*\*\*)</sup>), kawałki z kronik, lub rękopismowe, obiegające po kraju okolicznościowe pisma. Szlachcic nie tylko w tem sobie lubował, ale z ortografią czy bez ortografii notaty swe na marginesach kreślił, dodatki robił, a białe w oprawie stronnice, zużytkowywał zapisując epitalamja i nagrobki. Nie wiele było książek, ale czytano lepiej może, i dosyć jak na owe wieki czynu, a wybór dzieł zastępował ich ilość.

Stosunkowo oświata nasza w przeszłości nie na tak niskim stopniu stała, jak się w XVIII. wieku szyderczo utrzymywać podobają, łupina często była śmieszna, i lekkie umysły nie przegryźszy jej, z niej sądziły o wartości i wyrokowały fałszywie. Nieroztropni chwalczy przeszłości, którzy ją sobie sami tworzą, chcieli, by obskurantyzm swój poprzeć powagą przykładu, ale ich argumenta dowodzą nieznamomości rzeczy. Ktoś bardzo słusznie wyrzekł, że nikt dziś podobno nie umie gruntownie tyle, ile za nieuka okrzyczany stary szlachcic polski. Oprócz polskiego i łaciny którą znał jak swój własny język, musiał umieć po rusku dla ludu i stosunków prawnych z prowincjami litewskimi, często wojna go uczyła tureckiego i tatarskiego języków, choć trochę musiał rozumieć niemieckiego, na palcach znał prawo swoje, litewskie, saxona, rzymskie, kanoniczne, historję swoją i państw ościennych, zasadnicze ustawy i zwyczaje

---

\*) Jan Kochanowski (1530–1584) – polski poeta epoki renesansu.

\*\*\*) *Argenida* i *Syloret* – dzieła poety epoki baroku Wacława Potockiego (1625 – przed 1697)

\*\*\*\*) Piotr Skarga (1536–1612) – jezuita, kaznodzieja i pisarz. Autor wielokrotnie wydawanych i wznawianych *Żywotów Świętych* (Wilno 1579).

kraju, historję kościelną i naukę religij, poszanowanie literatury klasycznej czyniło niezbędnem poznanie starożytności; każdy był prócz tego mowcą, trochę politykiem i summa oświaty ogólnej w kraju nie była niższą od krajów ościennych, tylko nam z niej użytkować nie dawały zajęcia, które często najsilniejszy i najpotężniejszy umysł do szabli i prostej żołnierki powoływały.

Dziś na oko liznęliśmy wielu rzeczy, i znamy je powierzchownie, mówimy o wszystkim, ale gruntowniej znamy bardzo nie wiele. Nie tylko by więc nieodstręczać należało od ukształcenia, ale do niego nakłaniać i zachęcać. Jeszcześmy wcale nie przemądrzeli, a instynkt poczciwy pędzi nas ku nauce i oświacie. Ten popęd i u nas jest bardzo widoczny, a ci co znali Żytomierz przed laty kilkunastu i widzą go dzisiaj, ocenią najlepiej różnicę umysłowego stanowiska ogółu.

Liczba dzienników i książek będących w obiegu najlepszym jest termometrem ruchu i pracy. Dawniej obchodzono się Tygodnikiem i trochę pożyczanych książek, teraz porządna księgarnia stała się prawie niezbędną.

Daliśmy już pojęcie życia powszedniego naszego miasteczka, i zamięłowania w spokoju, które charakteryzuje mieszkańców; rzadko też skupiają się oni i dotąd nie mamy takiego publicznego miejsca, w którym-byśmy zejść się i zobaczyć mogli kiedy niekiedy, i policzyć, i uśmiechnąć sobie lub z siebie z daleka. Ogrodu spacerowego brak nam zupełnie, małeńki przy domu gubernatora i szczupły jest, i nie zbyt uczęszczany.

Za to okolica, nad podziw malownicza, dozwala wszędzie najmilszej używać przechadzki, i zastępuje najwykwintniejszy ogród. Chociaż w samym mieście rok mieszkać można i o nieporównanych krajobrazach, jakie go otaczają, niewiedzieć, już z wierzchołka Cudnowskiej ulicy domyśli się każdy że w tamtej stronie pięknie być musi. Cała Kamionka niezmiernie malow-

niczo wije się pod miasteczkiem, zasiana ogromnemi głazami, i domy zbudowane na wzgórzu nad nią, mają prawie szwajcarskie widoki na wzgórza zielone, lasy, pagórki, wodę i skały... Nad jej brzegami obrano miejsce na cmentarz katolicki, rozrzucony w lasku na górach i formujący smutny ale nieporównanego wdzięku obraz. W pośrodku stoi kościółek na najwyższym góry grzbiecie którego dach i ściany podnoszą się po nad gęste drzew massy... Grobowce wykwintne i skromne, posypane są po obszernej przestrzeni tego pola umarłych, wśród którego gdzieniegdzie wykwita zdziczały kwiatek, ręką smutku żywego jeszcze sadzony. Zwyczajem tu jest w poniedziałek po niedzieli przewodniej odwiedzać cmentarz i groby, ale to pożyczylimy z obrządków Rusi wschodniej. Cmentarz dosyć jest odległy od miasteczka, a dawnego bliższego, także na wyniosłości nad Kamionką znajdującego się, ślady pozostały tylko. Przeciwny brzeg tej rzeczki która wzbiera wiosną, a latem zaledwie ma czym zwilżyć dno swoje, zarasta jeszcze gęsty i ładny lasek sosnowy, w którym pełno małych dworków i chatek bardzo podejrzanych, do będących schronieniem włóczęgów.

Kamionka uchodzi do Teterowa, równie skałami otoczonego, i od tego ujścia począwszy brzeg sam Teterowa stanowi cudną przechadzkę. Rzeka ta musiała kiedyś z wielką siłą wyrzynać sobie koryto, które głęboko dziś u podnóża przedartych skał się znajduje. Skały te na kilkadziesiąt sążni, wysokie, obnażone gdzieniegdzie, pogruchotane, zsunięte, nagromadzone w nieładzie malowniczym, siwe, czerwone, żółte, omszone, przy drzewach i wodzie ciemnej głębi rzeki stanowią obraz, jakiby malarz z trudnością stworzyć potrafił. W rozmaitych miejscach a z kilku punktów jest to coś tak uroczonego, że nawet ci, co bardzo do pięknej natury przywykli i dużo po świecie bywali, nie mogli się wydziwić dzikiej piękności naszej okolicy...

Może być że nagle przejście z miasteczka na tę pustynię milczącą pomnaża efekt i czyni go tem silniejszym, że całkiem niespodzianym.

Od ujścia Kamionki idąc brzegiem, prócz kąpiących się w porze letniej których tu wszędzie pełno, nieznajdujemy śladów życia miejskiego; czasem przesunie się strażnik pilnujący wódki, chłopek z wędką, lub małe gronko ciekawych... Ścieżka wiedzie między łomami skał i zaroślami na pagórek z którego coraz cudniejsze mamy pod nogami widoki. Rzeka płynie ciemna po skalistem łożysku, nad nią zwieszono ściany granitu, gdzieniegdzie jakby zwaliska zamku i mury formujące, a w szparach pełno krzewów i zieleni; w dali świeci się uciekająca woda i lasy. W jednym miejscu jest urwisko z kawałka głazu złożone, które się zowie sokołą skałą. Wedle podania kilku tu ludzi rzucić się miało z niego w głębinę, a że wysokość wielka, a dno kamienne, śmierć była niewątpliwa. Jedna ze skał widziana zdala przedstawia niezłe niby popiersie mężczyzny statecznych rysów, o dużym nosie, a miejscowi przezwali ją skałą Czackiego, na pamiątkę drogiego Wołyniowi męża. Z drugiej strony od młynka zaszedłszy, nie mniej cudnie przedstawia się Teterów w ramach brzegów, najeżonych skałami, z Żytomierzem w głębi obrazu. Cała ziemia ponad urwiskami zasypana jest bryłami gładów ogromnych, widocznie obalonych z góry, zsuniętych i kształtujących w jednym miejscu cypel, wchodzący w rzekę, którą gdzieindziej przecinają i marszczą kamienie podwodne. Nad samą wodą pełno wierzb, bujno rosnących, kaliny, kloników zwanych tatarskimi i różnych krzewów, które gałęzie swe zwieszają od brzegów.

Teterów tu jest może najwspanialszy, ale i dalej przepływając lasy Cudnowskie, w Korosteszowie, także i innych miejscach pełen jest wdzięku, który mu skały i lasy nadają.

W tym rodzaju są niektóre okolice nad Słuczą, i Hniłopiatem, mianowicie w Szumsku.

Dla mieszkańców Żytomierza wszędzie te brzegi rzeki domowej zastępują ogród i wabia na przechadzkę; nieszczęściem codzien siekiera cywilizacyjna i młot kamieniarzy nadwerężają fizjognomię, której popsucia żaden w świecie porządek nie nagrodzi.

Z drugiej strony, po za cmentarzem, nad drogą szosowaną, jest o parę wiorst od miasta na gościńcu ku Nowogrodowi Wołyńskiemu, w bardzo pięknym położeniu, folwarczek, Topolką nazwany, z ogrodem, domkiem, parkiem do spaceru i domem dla gości. Tu także położenie miejsca nad rzeczką, wśród wzgórzów, drzewa, cień i widoki zwabiają przechadzających się i latem liczne bywają zgromadzenia. Do koła otoczona lasami, u podnóża gór, nad rzeczółką położona Topolka, ma w sobie coś niezmiernie miłego.

Porozrzucane tu domki, młynki, fabryczki, przepyszny most wzniesiony wysoko, czynią z niej pejzaż, w pewnych dnia porach i oświeceniu zachwycający... Jeszcze ku Staniszówce jadąc brzegiem Teterowa, już spłaszczonym i piaskami okrytym, dosyć piękne mamy widoki, za to ku Wilskowi płaszczyna pospolita, która za Sokołową górą grozi polesiem zwyczajnem.

Otóż nie pełny i szybko narysowany obraz naszego miasteczka, o którym by więcej napisać można, gdyby się nie lękało drażliwej miłości własnej ludzi, do występowania publicznego nie przywykłych. Trzeba poszanować ich skromność i bojaźliwość, i choćby się nawet co na ich pochwałę powiedzieć mogło, zamilczeć, aby im nie zrobić przykrości...

Każdy kto tu pobyl dłużej, ocenić musiał ludzi, których ogół jeśli nie jest jeszcze towarzystwem wykształconem po europejsku, ma żywioły wszelkie z których się społeczność zacna i poczciwa wyrobić może... Więcej tu cnót i dobrych popędów, niż śmieszności i złego, wielkie zamiłowanie spokoju, uczucia wszystkich ku sobie raczej przyjazne niż niechętne, religijność

gorąca, pobożność prawdziwa, skromność obyczajów przykładna, pogarda zbytku wiele obiecująca. Wady jeśli są, to wspólne z ogółem kraju naszego i takie niestety, które tkwią zbyt u nas głęboko, byśmy się z nich łatwo poprawić mogli, i tu trudniej o wytrwałość niż o zapał, o cierpliwą pracę niż o porwacza ofiarę, próżność gra w nas czasem, duma niepotrzebna rozdyma... ale któż bez ale... a ileż to dobrego płaci za te słabostki ludzkie?

Zresztą i to dodajmy, że Żytomierz kształci się i wyrabia po większej części pracą własną i siłą swoją tylko, odsunięty w głąb kraju, położony na krańcu prawie prowincji, mało mający komunikacji ze światem, nie wielu przyjezdnych i z kąd inąd przybyłych, nie ulega żadnemu wpływowi, nawet prowincji, i w sobie czerpać musi zasoby ku przekształceniu. Zwalnia to może postępy jego, ale zapewnia mu utrzymanie się w swoim charakterze, czego byśmy nie tylko Żytomierzowi, ale krajowi całemu życzyli.

Świat idzie dziś drogą dziwną zlewania się wszystkich narodowości i indywidualności, kraje stają się sobie podobne i ludzie nie mają cech wybitnych, równają się umysły, inteligencje, charaktery, fizjognomje; straszno, żeby i nas nie pochłonął ten potop ogólny cywilizacji pozornej a bezbarwnej. Bierzmy od drugich wszystko co dobre, lecz zachowajmy w sobie surowego ducha przeszłości, który nas uczynił tem, czem byliśmy, i szanujmy nawet najdrobniejsze pamiątki, odcechowujące nas od tego tłumu, co nie ma dziś ani ojczyzny którąby kochał, ani wiary, za którą by dał życie...



## IV.

Co stanowiło w dawnych czasach pierwiastek spajający społeczność pogańską? zdaje mi się że odpowiedź nie jest wątpliwa i trudną. Interes człowieka był jedynym, wyrozumowanym jej żywiołem. Instynkt ludzkości łączył ją, i czynił ludzi potrzebni ludziami, ale bez objawienia człowiek nie umiał sobie zdać sprawy z węzła, który go jednoczył z drugimi, i ilekroć myślą poszedł w głąb stosunków towarzyskich, widział w nich tylko spótkę interesów. Na celu był wszędzie człowiek pojedynczy, który nie sądził się obowiązany do ofiar i ustępstw tylko o tyle, o ile mu się te wypłacały wzajemnymi ofiary, o ile musiał dawać drugim, bo żądał od nich. Społeczność pogańska stała opatrzoną wolą Bożą, tajemniczą siłą jakąś, ale wielka prawda co za podstawę nowemu służyć miała światu, jeszcze objawioną jej nie była. We wszystkich systemach filozoficznych starożytności, człowiek starał się zapewnić sobie szczęście i pokój środkami ujemnymi, nie wierzył aby nie popaść w błąd i nie być upokorzonym, nie kochał i nie przywiązywał się do niczego, aby człowiekowi i światu nie dał nad sobą panować. Stoik obawiając się boleści, skazywał się na odosobnienie od ludzi, na odcięcie od świata, schodził w siebie, zamykał się w sobie, opasywał murem stężałego egoizmu. Jeżeli czyniono dobrze ludziom, to dla tego tylko, ażeby ich cierpienie nie uprzykrzało się, jeżeli ich kochano to cieleśnie i dla siebie, największą cnotą i per excellentiam heroizmem było uzbrojenie się na boleść i pogarda śmierci. Ale też obok tego społeczność nie zważała na ofiary które ze swych członków słabszych czyniła mocniejszym.

W Sparcie dzieci kaleki i słabe zabijano, bo się społeczności przydać nie mogły, a w inny sposób odbywało się to zabójstwo i ofiara człowieka dla człowieka wszędzie i ciągle. Tłumy niewolników pracowały na rozpustę możnych, znajdowano sprawiedliwym poświęcanie się słabszych i bezbronnych.

Boleść cudza nie wzniewała litości, ale politowanie. Kobieta była wiekuiącą ofiarą i narzędziem rozkoszy, ona pierwszym tylko niewolnikiem stała w tym społeczeństwie, spojonym interesami egoizmu.

Żywiołem całego świata pogańskiego, była miłość siebie; nowego świata zasadą i treścią stała się miłość ludzi i ofiara z siebie dla nich. To jedno słowo zmieniło świat i wyświeciło, czem chora i zboleła odrodzić się miała społeczność. Chrystus przychodzi, a z nim poszanowanie słabości, zrównanie ludzi, wyniesienie boleści i ofiary, a ukazanie człowiekowi celu wyższego po za światem.

Nie ma większej sprzeczności zasad nad te dwie, które w społeczności pogańskiej i chrześcijańskiej jawnie się ukazują. Ludzkość przestaje być spółką interesów, poczyną być związkiem istot równych, połączonych miłością, obowiązanych do ofiar, popierających się wzajemnie bez nadziei nagrody... Owszem wszelka nagroda ziemską unieważnia czyn, który aby być czystym, musi być poświęceniem bez granic, natchnionym miłością.

Wielkie mistyczne znaczenie miłości wschodzi dopiero w świecie chrześcijańskim; poganie już mieli przecucie jej w świecie materialnym, mieszcząc Erosa u wrót stworzenia, i u wrót Chaosu. Ale miłość ludzką znizyli do czysto materialnego pociągu. Duchowa miłość, zdolna do ofiary z siebie, występuje na świat z krzyża, oblanego krwią Chrystusową...

Nic tego wielkiego objawienia prawdy nie przygotowuje i nie zwiastuje w świecie pogan. Aż do ostatniej chwili zejścia

zorzy, nikt nie ma pojęcia tego, co ma zajaśnieć. Wszelkie dzieła ludzkie przychodzą powoli i stopniowo się wypracowują, tu Boże objawienie wytryska nagle i niespodzianie, a szerzy się cudownie.

Cała nowa moralność chrześcijańska spoczywa w tym jedynym wyrazie miłości, którego ewangelja jest pełną; wszystko z niej płynie i do niej zmierza; z niej tryskają cnoty, które są różnym wyrazem tego jedynego pierwiastku, tak jak z egoizmu płyną wszelkie występki, których on zasadą i ziarnem. Co rodzi miłość jest dziełem ducha, co daje samolubstwo, jest sprawą ciała.

Ciału dany jest ten instykt konserwacyjny, który przeradza się w samolubstwo, duchowi wyłącznie dana siła przyciągania wszystkiego, rozlewania się, łączenia tak jak w Bogu wszystkie się dusze kiedyś połączą. Duch ofiaruje się ochotnie i zapiera siebie bo czuje się nieśmiertelnym, ciało broni od zagłady, bo królestwo jego ziemia, a życie chwila.

Z tego względu rzecz można, że świat pogan był światem czysto cielesnym, a chrześcijański dopiero ducha światem.

Gdyby więc kazano nam w każdym czynie i faktie rozpoznać i ocenić jego znaczenie, jako miarę wzięlibyśmy jedynie miłość i szukalibyśmy, czy samolubstwo ciała, czy wyrzeczenie się duchowne go rodzi. Nie ma pewniejszego kryterjum moralnego na rozpoznanie uczynków ludzkich.

I co za przestrzeń ogromna, jaka przepaść niezgłębiona dzieli pogański świat od naszego! Jakie tam ciasne szranki i nienasycenie niczem, jaki tu spokój, szerokie pola i zadowolenie.

Historja jednak miłości czystej chrześcijańskiej, którą tak jasno dają listy ś. Pawła, i cała ewangelja, której pełni są apostołowie, nauczając jej nieustannie, miłość którą pierwszy Chrystus naucza, jako obowiązku względem wrogów nawet – dziw-

nie jest smutną, gdy z prześladowanych w pierwszych wiekach mieszkańców katakomb wzrok nasz padnie na ludzi średnich wieków, na nasze wręście dzisiejsze społeczeństwo?

Postąpiliżemy w miłości i czynach miłosierdzia? Jesteśmy bliżej wprowadzenia jej w czyn i rzeczywistość od tych, co świeżo duchem jeszcze pogaństwa przejęci, pierwszy raz naukę o niej posłyszeli? Zdaje się że od braterskich agapów ludzi co jutro pójść mieli na męczeństwo, do dzisiejszych biesiad w których króluje egoizm, daleko! daleko! Miłość jednak powinna była przejąć świat, przesiąknąć go, przetworzyć, ale niestety bronili się jej ludzie, i pozostawili formę, kontentując się nią, a wszczepić nie chcieli ducha, który zmuszał do ofiary.

Obok pierwiastkowego społeczeństwa chrześcian, czemże my dziś jesteśmy, ileżemy powymyślali najbłahszych powodów do wyłamania się z najpierwszego prawa braterstwa i poświęcenia! W ostatku spełniamy literę ustawy, ale nie bierzemy jej do serca, nie przeradzamy się w nowych ludzi.

Stygnie ta miłość nawet w ludziach głębokiej wiary i pierwszy a najświętszy zakon Chrystusowy idzie w poniewierkę uczynkami naszemi. W rzeczy jak zdziczałe drzewo, które wszczepioną miało gałąź szlachetniejszą, i rodziło owoce lepsze, ludzkość powoli wraca do pogańskiego stanu. Widzi ona prawdę, ale ją już ma za ciężką na swe ramiona, i zrzuca po drodze...

Gdybyśmy rozebrali bacznie instytucje nasze, obyczaje, żywot codzienny, stosunki rodzinne i publiczne, postępowanie powszednie, nie trudno by w nich wskazać było pierwiastki pogańskie, które się wcisnęły od niedawna i coraz wzrastają. Wracamy do najpoziomszego pojęcia społeczeństwa jako związku interesów i ustępstw wzajemnych, wszystko budujemy na tej teorii.

Słowa ewangelij postawione obok uczynków, były by naj-sroższą krytyką świata, w którym żyjemy, a który się nam bardzo przyzwoitym i wygodnym wydaje. Na niewypełnienie prawa braterstwa i miłości tysiące mamy powodów, wyfilozofowanych tak mądrze a pogańsko, że przeciw nich nic powiedzieć nie można, prócz że nie z ewangelii popłynęły. Rozbiór wszystkiego co wskazuje żeśmy maskowani poganie, byłby zbyt obszernym, ażebyśmy myśleli go przedsiębrać, ale kilka przykładów da nam uczuć, jak na fałszywej jesteśmy drodze.

Zdaje się że po ewangelii prawo karne powinno było zupełnie się odmienić, i wstąpić w nową erę rozwoju. Chrystus mówi czynem i słowem, że nikt rzucać kamieniem nie ma prawa, i nie ma prawa zabijać. Społeczność czy człowiek pojedynczy, wszystko jedno; a mniej społeczność cała, niż jeden ułomny człowiek. Chrystus powiada, że miłą mu poprawa grzesznika i wskazuje w naturze ludzkiej źródło jej zawsze istniejące. Co się nie da poprawić i zmiękczyć dziś, może ulegnąć dobremu wpływowi jutro, za rok, w lat dziesięć, dwadzieścia. Jakież prawem dzikiem odejmujemy człowiekowi upadłemu a choćby najzaciętszemu z grzeszników, życie a z niem czas do upamiętania? Jaką i co nam daje pewność, że się poprawić nie może? co nas uwalnia od pieczy nad nim, od pracy około nawrócenia jego? Towarzystwo postępuje tu sobie po pogańsku, nie chce się zająć i ulitować nad upadłym z Samarytanem pobożnym, ale go kamieniuje dla tego, że nie ma czasu. Zamiast otoczyć go miłością, przemódz cierpliwością, wyrzecz nań wszystkie siły miłosierdzia, pozbywa go się jak Spartanie ułomnych dzieci. Może to wygodnie, filozoficznie, ale nie po chrześcijańsku.

Znam na poparcie tych praw kryminalnych różne teorie, potrzebę krwawych ofiar, mistycznie wyłożona, potrzebę przykładu dla postrachu, wreszcie niemożność zajęcia się zbrodnia-

rzem a usprawiedliwienie się potrzebą społeczeństwa całego, z jego ofiary. Lecz jestli to wszystko dostatecznym przeciw słowom Chrystusa, tak wielkim i świętym, które przebaczyć i miłować każą?

Nierozumiem.

Wiele innych instytucij i codziennych postępów naszych, niewytrzymują równie próby ognia ewangelicznego. Kochamy bliźniego w wolnych chwilach, dajemy mu grosz zbywający, karmim go ochłapami naszego stołu, a miłosierdzie spełnia się dla formy i oka, nie dla serca.

I tu powstały wyśmienite teorje na poparcie zwrotu ku ideom pogańskim: potrzeba nie zachęcania do próżniactwa, niebezpieczeństwo dla społeczeństwa od członków jego, niespełniających swych obowiązków, konieczność uporządkowania, ulegalizowania miłosierdzia i t. d. i t. d. Jałmużna powiadamy, zachęca do próżniactwa. Prawda, może to być, ale tem gorzej dla winnych, a ty spełniasz obowiązek, gdy tymczasem jeśli istotnie ubogiemu nie dasz, jesteś winien i grzeszysz. Z resztą co są nasze dobre uczynki i miłosierdzia? jaką część chleba i ducha dajemy ludziom? Policzmy się.

Powoli tak przyszlismy z surowych spełniaczy prawa, na obojętnych i na lekko biorących życie. Większa część ludzi tem grzeszy, że poważniej nad niczem się nie zastanawiając, w śmiech i żart igraszkę obraca wszystko. Kiedy na świecie nic nie jest małej wagi, my drobnostkami mianujemy codziennie najważniejsze sprawy.

Nie dziw też że z żywotów pojedynczych, na los oddanych, prowadzonych wiarą obojętną w jakąś fatalność, złoży się społeczność ułomna, słaba i bolejąca. Silnych przekonań i zasad mocnych, charakterów wielkich, ludzi wolą potężnych a wytrwałych, całkiem wiekowi naszemu braknie.

Mniej ucywilizowane wieki obfitowały w bohaterów i indywidualności wybitne, dzisiejszy najwyższą mądrość mieści w biernej uległości losom, ludziom, wypadkom. Nikt nie ma odwagi pójść na bój śmiały za przekonanie i prawdę, godzi się czy nie godzi na zdanie, ustępuje mu, milczy, i stara się okupić pokój bodaj ofiarą sumienia.

Z takiego stanu rzeczy łatwo na przyszłość wyprowadzić wnioski, ale te zbyt by były smutne.

My spójrzmy na skład i ekonomję wewnętrzną społeczności naszej w prowincji o której mowa. Bierzemy tu społeczność w najobszerniejszem znaczeniu, niewyłączając z niej żadnego żywiołu, chociaż by ten w bezpośrednim z resztą nie był związku.

Cała ludność naszych prowincji składa się naprzód z najlicniejszej klasy ludu, od wieków na tych ziemiach osiadłego, ze szlachty, która mu przewodniczyła dawniej, z urzędników, przybyłych po większej części z różnych stron kraju, z żydów i drobnych złamków pochodzenia rozmaitego, o których niżej powiemy.

Lud, zasiedlający Wołyń, jest Rusią, to jest plemieniem zmieszanem rusko-polskiem. Jak w naturze nie ma nigdzie nagłych przejść, tak w plemionach obok siebie z dawna zamieszkałych zawsze się znajduje pośrednie, łączące je. Z jednej strony tak zwana Białoruś, z drugiej Ruś Czerwona i Małorosja są właśnie takimi ogniwami spajającemi, których barwa właściwa z dwóch pierwiastkowych się składa. Wyrobiły one sobie pewną samoistność, ale na tle dwóch połączonych narodowości. Na Białej Rusi w języku i charakterze ludu, przemaga polski wpływ, w Czerwonej Rusi pierwiastek ruski. Język, obyczaj, charakter narodowy poświadczają o tem, i rzecz nie potrzebuje dowodzenia.

Wiem o tem, że Małorosja silnie przeciw temu zdaniu protestuje, i chce się jako odrębna barwa pomieścić w tęczy słowiańskiej, ale ta miłość własna, darowana narodowej dumie, w obec surowszego zastanowienia się upada. Z karmazynowej Polski i sinej Rusi, powstała ta fioletowa Małorosja, nad Bałtykiem w różową, u nas w sinawą wpadająca barwę. Nie ujmuje to jej jako narodowi, boć i na zachodzie potężne kraje w tenże sposób ze zlewku plemion popowstawały, a tu dwie bratnie splotły się gałęzie, przeznaczając spojona na palmę pokoju i zjednoczenia między nieprzyjaźnemi sobie z dawna pniami. Jak temu posłannictwu zadość uczyniła Małorosja, historia opowie ze smutkiem, choć winy rozdwojenia na karb cudzy kłaść zwykła.

Lud cały jest u nas małorosyjskiego plemienia, chociaż idąc od Ukrainy ku Bugowi, gdzie dwa narzecza Biało- i Czarnoruskie w jedno się znowu łączą, wiele jest różnic obyczajowych i językowych. Na tle jednym ileż to różnaitości! jakie różnice, ile wdzięku w tych różnie pofarbowanych kwiatach bożego ogródka! Niby jednym mówiący językiem, chłopci z nad Dniepru i Bugu niesłychanie się różnią od siebie.

Na samym Wołyniu od krańca jego za Żytomierzem poczawszy, do Kowelskiego powiatu, do Krzemienieckiego, wielkie badając znaleźliśmy odmiany. Lud w ogóle przedstawia nam klasę, od wieków w jednym i nieporuszonym trwająca bycie. Gdy inne podeszły z postępem i noszą na sobie piętna tych wieków, w których najsilniej się kształciły, wieśniak nasz pozostał pół-poganinem, tylko co jeszcze ochrzczone.

Dotąd uczyniono dlań bardzo mało. Na barkach tego ludu spoczywa wyżywienie kraju, rola, gospodarstwo, praca materialna, nie było więc dlań czasu odwrócić się ku czemu innemu, a nikt ku temu nie pociągał. Jedynym żywiołem, bardzo powolnie kształcącym lud, było wybieranie z łona jego żołnie-

rzy i ludzi do dworskiej posługi. Ale pierwsi rzadko powracali i stawali się obcymi niemal po kilkudziesięciu latach służby, a drudzy ze stanu rolniczego wydobywali się na wolność i szlachectwo cokolwiek zapomógłszy, i zapierali dobrowolnie pochodzenia. Dworacy wszakże młodsi nie byli bez wpływu na wioskę. Ale jakaż ich liczba i jaki to wpływ być mógł, przy tak szczupłej garści?

Reszta ludu wiejskiego jest dla nas fenomenem tem ciekawszym, że w nim mamy żywą próbę tego czem cały kraj był w VIII. i IX. wieku. Od tego czasu nie wiele się zmieniło, instytucje pomodyfikowały stosunki, maluczko tam coś z góry wcisnęło się do warstwy niższej, tło zostało takim jakim było, gdy lud ten chrzczył się na wiarę chrześcijańską. Obok przyjętej nowej wiary przewiekowały tu przesady i zabobony pogańskie, zasady, przysłowia, pieśni, obrzędy.

Że lud ten któren ochrzciwszy nie starano mu się wpoić religij, jest dziś jeszcze pogańskim, świadczą o tem mnogie pozostałości zupełnie nie chrześcijańskie. Tak naprzykład jedną z zasad wkorzenionych jest że grosz kradziony najlepiej się rozmnaża, że nie wzięwszy na duszę, nie będzie nic w duszy (to jest: kto chce mieć korzyść, musi grzech popełnić), że póty mieć nic nie można, póki na ciebie sierota nie zapłacze... Dotąd domy zakładają się na głowę czyjąś, aby nie szkodziły temu, kogo pokrywać mają, dla przebłagania złych duchów składają się ofiary szatanowi w różnych formach, a żywot ludu ściśle zbadany, da tysiące podobnych szczątków przedchrześcijańskich zasad.

Nic zapewne trudniejszego nad przekształcenie mass całych, ale też za mało dotąd zrobiono dla nich. Kapłani wiejscy spełniają obrządki ale się ludem nie trudnią, ledwie nie korzystając z jego ciemnoty; nie mamy szkółek, nie mamy nic coby wpłynąć mogło na ucywilizowanie kmiecia. Dziwować się po-

tem nie można jego ślepoty, gwałtowności, braku pojęć, a raczej wypadaloby podziwiać łagodność i poczciwa naturę jego, ku dobremu go instynktowie niosącą.

Nie ma tu prawdę rzekłszy nic, coby do wychowania podobnem było; matka go uczy pacierza, dziewczęta piosenki, ojciec pędzi w pole do bydła i trzody, bydło i trzoda uczy obyczajów...

Podśluchuje rozmowy karczemnej, a gdy z jarzma cięższej pracy, która go od dzieciństwa gniecie wyrwie się czasem, słucha instynktu, i nim szaleje, bo nie wie co by go wstrzymywać mogło.

W tem wszystkim religja ma jakieś miejsce urzędowe, konieczne, w pewne pory i dni wyznaczone, ale prócz strachu nie budzi innego wrażenia. Nie ma chwili do stracenia nigdy. Zabłąkała się krówka, trzeba biedz za nią, siano gnije, potrzeba przewracać, snop leży to go przed deszczem uchwycić, bronę popędzać, radła naglądać, płot zapleść. W tej exystencij bydłęcia, nie pozostaje i Boża niedziela na podniesienie oczów do nieba, bo i w niedzielę mówią usprawiedliwiając się, jeść potrzeba, a zatem i w ten dzień sobie pracują.

Cóż dziwnego, że tak obarczony lud a ubogi nie mógł wynijść ze swego stanu, ani się podźwignąć? Za niego myślą chyba bogatsi albo stanem i nieszczęściem wyłączeni od pracy: żebrak śpiewający nad drogą, kaleka niezdatny do niczego, grajek wędrowny, i starzec który przeżył siły co u nich rzadko. Z jaką też chciwością dusza tych co śpią duchem zawsze, wyrwa się ku słowom pieśni, powieści, cudownego świata, gdy je zasłyszyp przypadkiem? jak dumają nad pochwyconą piosenką i czują w sobie rozbudzające się władze? Ale tuż pług stoi i wół czeka, trzeba od śpiewaka iść w pole, a tam myśleć nie pora...

Od lat prawie sześciu, już dziecię w chacie jest użyteczne: dziewczyna starsza pilnuje młodszych dzieci, które instynktem

raczkując już sobie radzić umieją, chłopiec idzie na pastuszka, na poganiacza, a zaspąć mu w chacie nie dadzą. Ani chwili nie ma spoczynku, trzeba panu robić, lub sobie. Dorosłszy, nie ma się czasu rozszaleć, bo praca przymnaża się z siłami, a głód zmusza do niej. Małżeństwo jest tu rachubą na przyszłość, dając pomocnicę w chacie i dzieci, przyszłych wyręczyli. Dziecko jest ciężarem ale i skarbem zarazem, kto ich nie ma, musi w końcu zejść na czeladź najemną, która na starość z chałupy wygoni. Z małemi wyjątkami starość tu smutna, i nowem wraca dzieciństwem, w pilny czas i najbezsilniejszy starzec wychodzi na żniwo, dogląda drobnych wnuków, lub jeść warzy jeśli umie; nawyknienie do pracy sprawia, że mu niemal chleba żałują, jeśli nań nie zarabia. W tem obyczaj pozostał pogański, a litość rzadko go osłodzi. Często przyciśniony od swoich, stary bierze torby i dobrowolnie za jałmużną wychodzi, bo mu swobodniej prosić na gościńcu litości, niż żebrać jej u swoich.

Nic smutniejszego nad życie wieśniaka, w którym nie ma prawie miejsca na miłość, tęsknotę, zastanowienie się nad sobą, na potrzeby serca, na rozwinięcie choć cząstkowo tego, co każdy przynosi od urodzenia... Pomimo to nic pocziwszego w głębi nad ogół tego stanu ludzi.

Są to aniołowie jeśli się przypatrzmy i porównamy czem są, a czem by być mogli przy takim zaniedbaniu. Namiętności w nich jeśli ich nie budzą i nie jętrzą okoliczności zewnętrzne, rzadko wybuchają gwałtowniej, serce do litości skłonne, dobroć wielka, wdzięczność długa, a przy najmniejszym obudzeniu uczuć szlachetnych, wzrost ich zdumiewający. Ta religja, której tak mało im zaszczipiono, przylega często i rozrasta się w ich sercu, choć maluczko im jej udzielono. Poganin wychodzi wówczas dopiero na jaw, gdy go do rozpaczy nieszczęście przywiedzie. Pewniki te stare któreśmy przywiedli, zjawiają się na ustach, gdy już nic na świecie nie pozostało, i żadnej nie ma

nadziei. W pospolitem życiu położenie czyni go zubożającym, mało przewidującym jutra i lekko biorącym życie; śmierć ich nie ustrasza jak życie nie nęci... gotują się na zgon jak do roboty... nie walcząc z losem, któremu ulegnąć przywykli.

Dzisiejszy stan wieśniaka jest dla nas niezrozumiałą pozostałością innych wieków, przedłużoną nieopatrzenie do dziś dnia. Nie jest to wszakże niewola jakby się na oko wydawać mogło, a przynajmniej nie był nią ten stan początkowo.

Wy tłumaczyć sobie nie możemy, jak do tego przyszło, jak pan a wódz i rycerz gminie dowodził, którą bronił, jak gmina ta którą władał gdy bezpieczniejszą została, powoli przeszła na jego dziedzictwo. Stosunek początkowy gromady i wodza był czysto patryarchalny, wyjątkowo stawał się innym, ale zasadniczo, pan był starszym gromady nic więcej. Dla tego wieśniak który nigdy nie miał osobistej własności, który zawsze maluczkiem czuł się kółkiem całości, sobą nie władał, o sobie nie myślał, sobie nie radził, zubożętniał tak i zaniedbał się. Są dziś utopiści co nam za lekarstwo radzą powrót do słowiańskiej gminy republikańskiej i jej absolutyzmu, ale było by to nowem ujarzmieniem człowieka. Dziś skutkiem tego żywota przeszłości wieśniak nie ma pojęcia własności indywidualnej, on pański, ziemia pańska, bydło jego pańskie, las pański jego lasem, i pańska własność jemu wspólną, dalej i pole sąsiada i jego, gromadzkie, i wszystko do wszystkich należy.

Nie pracuje też tylko napędzany i zmuszony, bo w pewnym względzie nie dla siebie, ale na gromadę robi, i jeśli z głodu mrzeć będzie, to pan lub gromada obmyśleć mu coś muszą, jeżeli bydło zdechnie, pan kupi drugie i t. p.

Najtrudniej nawet zdaje mi się, będzie mu nadać pojęcie tej emancypacji indywidualnej, pracy jako osobistej własności, i nabytku, przysporzonego pracą a rozporządzalnego.

Opieka dotychczasowa uczyniła wieśniaka nieopatrzny, bo się na nią spuszczał i spuszcza, zobojętniła go, i dziś podnieść go do godności człowieka, oderwać z tej gminy pogańskiej, która była komunistyczną spółką indywidualistów, poświęconych ogółowi, koniecznie potrzeba. Ale nie przyjdzie to łatwo. Wieśniak w całej Słowiańszczyźnie ma tradycją prastarą wspólnej wszystkim własności, spojenia społecznego, solidarnego, i zawsze jeszcze odwoływał się nie przestanie, jeśli nie do pana, to do gromady. Wyzwolić go od gminy, od gromady, od pana, postawić o swej sile i zmusić do opiekowania samemu sobą, oto zadanie wieku. Ku temu dwoista droga, nadanie praw nowych, oświecenie, a środkami wytrwanie i czas.

Mówiąc o oświeceniu, za najpilniejszą uważam religijne podniesienie wieśniaka; oświata od nowego chrztu duchownego począć się powinna i musi; – na innej podstawie nic zbudować nie będzie można. Dzieci i młodzież wyzwolić potrzeba od pracy ciężkiej choć w części, choćby na tem ogólne gospodarstwo przycierpieć miało, a przysposobić je do życia, gruntowniejsze wpajając zasady.

Wielkiej tu mądrości nie potrzeba, ani nawet książki i litery, żywego a namaszczonego dosyć słowa, płynącego z duszy gorącej. Nie drażnić ich nadzieją próżnowania i pół-ukszałceniem chorobliwym, ale dać pokarm zdrowy Chrystusowego słowa na pielgrzymkę, którą wszyscy w pocie i trudzie odbywać musimy.

Jeden człowiek, poświęcony temu, namaszczony wielkością swego powołania, co by tu zrobić mógł! jeden człowiek natchniony, rozgrzany, zaparłszy się siebie i zaofiarowawszy dla odkupienia z ciemnoty ludu tego!! Ziarno chrześcijańskie, w płodną posiane rolę, jakie by dało owoce. Przykłady łagodności, dobroci, przebaczenia winy, ofiary, jakże by wielkie przy-

niosty plony! Ale któż o tem dziś myśli, i kto by chciał po wiekach apostołstwa podjąć pracę apostołowania?

Pomiędzy ludem a szlachtą majątniejszą, stoi w pośrodku klasa liczna i z różnych bardzo złożona żywiołów, ludzi wyzwolonych, mieszczan, czynszowników, budników, rzemieślników, czeladzi osiadłej, dworaków służebnych.

W ogół się wpatrzywszy, część ta społeczności daleko ma więcej wad a mniej przymiotów niż lud prosty, wieśniaczy. Ten samą ustawiczością pracy broni się od występku, siła jej uzdrawiająca oczyszcza go, ma on podania przedwieczne, ma wytkniętą drogę, wie dokąd i jak idzie. W klasie pośredniej, stykającej się z szumowinami obu blizkich jej, zbiegają się wszelkie wady ludu i szlacheckie, niewiele mieści się cnót im wspólnych. Tu stan niepewny, człek swobodniejszy, próżnowanie dozwolone, oszukaństwo łatwiejsze, dworowanie występkom ludzkim chleb daje, posługa namiętności z bogaca, i człowiek uczy się podłości mimowoli, gdy ona tylko popłaca. W naszym kraju choćbyśmy i statystyczne wzięli tablice, przekonalibyśmy się że ta warstwa najwięcej wydaje występnych. Nie ma tu jeszcze oświaty chyba ułamkowa i pochwycona nieporządnie, jest jej pozór, są jej ułudy, jest z niej to co dogadza i służy; surowa strona, co wiąże, co pęta i ukróca, niezrozumiana i odrzucona. Tradycji żadnej, chęć podźwignienia się do dobrego bytu, bodaj kosztem drugich namiętna, potrzeba skosztowania świata niepohamowana, pragnienie jego nie nasycone.

Częstokroć spotykamy tu ludzi, obdarzonych szczęśliwie, rzadko moralnie wyrobionych do godności człowieka. Duma wielka graniczy tu z podłością największą, zuchwalstwo względem słabszych, pokora przed silniejszymi. Takim jest pospolicie sługa, dworak, człek nieokreślonego stanu, co dawniej byle kapotę nadział i dziada zapomniał, na szlachcica się kierował...

Stan szlachty czynszowej, osiadłej na rolach najemnych, prawie się już zrównał z oplakany włościan stanem, ale raniej w nich jeszcze energii a więcej dumy, i nie tak lekko idzie im praca. Szukają oni zarobków, któreby prędzej, łatwiej z bogacić się dawały nadzieję, a do roli idą zmuszeni i niechętni, wyręczając się gdy można najemnikiem.

Polowanie, różne przemysły, często w istocie nie małego kosztujące trudu, ale nieprzykuwające do miejsca, lepiej się im podobają.

Trudno pochwycić ogólne rysy tego stanu ludzi, taka tu różnorodność zatrudnień, życia, losów, i nawet stanu moralnego. Wszakże ogół bardzo mało oświecony, większość czytać nie umie, ledwie raz lub dwa na rok jeśli kościół oddalony, przyjeżdża do niego na uroczystości, i dziczej widocznie. Dziadowie tych co służyli dworsko i mieli pewne ukształcenie, dziś w grubej sukmanie języka swojego zapomnieli nawet. Trochę lepiej, albo raczej trochę inaczej po miasteczkach, gdzie rolę się trudniący mieszcianie zamożniejsi nieco jaśniej pojmują i powołanie i obowiązki człowieka. Zbliżenie się do innych warstw społeczeństwa, a nadewszystko do kapłana i kościoła, widocznie ucywilizowały ich i podniosły. Zarobek łatwiejszy, grosz częstszy, praca lepiej się wywdzięczająca, postawiły ich w szczęśliwszem położeniu.

Zajrzawszy w głąb stosunków tych tylko już klas społeczeństwa, codzien się stykających z sobą, dojrzymy zaraz smutnego i niechrześcijańskiego rozdwojenia. Nic bardziej nie wrywa się i nie zapiera pochodzenia nad sługę dworskiego, który wdział suknię i umył ręce... nikt bardziej nie gardzi chłopem nad mieszczanina, a mieszczaninem nad wieśniaka. Tysiące przysłowiów uszczypliwych i przykrych świadczy o nieprzyjaźni i starych a niepojętych urazach.

Ocierają się o siebie wszyscy, spotykają, potracają, nie łączą! Taką li powinny być społeczność chrześcijańska, i możemyż my nazwać się synami ukrzyżowanego? – Idziemy do kościołów, słuchamy ewangelij, ale słowo martwe jej dla nas, i takeśmy się już z niem obyli, że uśmiechem szyderstwa przyjmujemy tych, co chcieliby zaprządz nas do spełniania prawd, które niby wyznajemy.

Co nas różni dziś od społeczności pogańskiej! chyba to że doskonale wiemy gdzie prawda ale dobrowolnie zaniechawszy jej, starym szlakiem grzechu się ciągniemy. Trudno wymagać od ludzi doskonałości, ale żądać mamy prawo dążenia ku niej, starania o nią, widomej walki dla prawdy i cnoty. Społeczność może być zepsuta: jeśli w niej żyje pragnienie postępu i poprawy, nic nie ma straconego, ono ją dźwiga; gdzie obok upadku panuje spokój i zdrętwienie, gdzie, gorzej jeszcze, na poparcie i uniewinnienie błędu wyrabiają się teorie i kują sofizmy, tam nic już nie ma do zrobienia.

Myśmy, biorąc całą dzisiejszą Europę w ogóle, na tem stanowisku właśnie niebezpiecznym, że nietylko ku dobremu nie idziemy, ale złe usiłujemy uczynić cnotą i dorabiamy formułki do naszego kalectwa. Pojęcia sprawiedliwości i cnoty tak się powoli zatarły że częstokroć w rzeczach najprostszych, o których sąd nie ulega najmniejszej wątpliwości, zbaczamy najdziwniej od prawdy, idąc za namiętnością i prywatą.

Łatwo by dowieść, że imieniem tylko chrześcijaninami jesteśmy, lecz czy dziś nawet to przekonanie pogaństwa podźwignie, gdy nie nowe dla nas są głosy, odzywające się za starym, wywróconym rzeczy porządkiem, za rehabilitacya ciała, egoizmu i materializmu? Jakichby środków i jakich klęsk potrzeba zęby społeczność znękana obróciła się ku Bogu, i znowu szczerze i gorąco modlić się i cierpieć nauczyła?

Przyszłość dla nas zakryta, lecz spoglądając z przestrachem na dno dzisiejszego zubożenia i zepsucia, truchlejem przeczuwając że jedną straszliwą tylko boleścią i klęskami opamiętani być możemy. Ludzkość w ogniu cierpienia odrodzić się może jeszcze... bo wielkim narzędziem i dźwignią jest męczeństwo i cierpienie. Upadły duch nie tylko dźwignąćby się potrafił z tego kału, w którym zależał, drzemiąc spokojnie.

Patrzmy na wszystkie strony upatrując człowieka, narodu, apostoła, któryby starą wiarę na nowo miał odwagę pójść głosić między tłumy zastygłe... i wszędzie niewidziemy nikogo. Jedno plemię nasze nieużyte, silne, nieprzegnięte jeszcze, mogłoby podjąć to wielkie posłannictwo, lecz jeszcze ku temu zdolne, ma-li wiarę silną w prawdę swą, odwagę i wytrwanie? Ja nie wiem, i wnuki nasze dopiszą kiedyś odpowiedź na to pytanie....



## V.

### Zbytek.

*Urywek.*

Gdybyśmy porównali życie nasze dzisiejsze do pradziadowskiego, obyczaj stary do teraźniejszego, potrzeby nasze do ma-luczkich wymagań dawniejszych, jakżebyto zasromać się wy-pa-dło tego zbytku, który nas zjada, rujnuje i niedołącznemi czyni do cokolwiek surowszego żywota.

Niemamy grosza na pocziwą ofiarę ubóstwu, krajowej po-trzebie, wychowaniu publicznemu, zachowaniu pamiątek dro-gich, wymawiamy się od wszelkiego współuczestnictwa w dzie-łach miłosierdzia, a na dogodzenie próżności i rzekłbym roz-puście zawsze się znajdzie choćby tysiące. Wiele rzeczy, bez któ-rych doskonale się umieli obchodzić ojcowie nasi, nam są dziś tak niezbędną jak chleb i woda, jak powietrze... a niejeden syn szaraczkowego szlachcica co sam orał zagon swój za młodu, wyrósł dziś na takiego paniczyka, że żytni chleb go w zęby kole, a domowy dym mu śmierdzi.

Otóż znowu jedna z tych chorób wieku zaraźliwych, poże-rających, na które by potrzeba szukać gdziekolwiek lekarstwa.

Słabość to w którą nie od razu i nie dzisiaj dopiero popadli-śmy, – zaczęło się z góry, schodziło na dół powoli i dziś dobie-ra się do dna. Zbytek nie zrodził się u nas, nauczyły go zepsutsze daleko narody zachodnie, do których jeżdżąc po rozum, przy-wieźliśmy sobie i zaszczepili to kalectwo.

Uśmiechniecie się może, iż i tego grzechu pierwiastek przypisujemy zachodowi, jakby już u nas nic samorodnie złego powstać nie mogło?...

Ale cóż począć przeciw oczywistości? Zachód ma mnóstwo dobrych stron, na które my nie zwracamy uwagi, które na nas nie działają, natomiast wady cywilizacji, stronę jej ułomną i chorobliwą, jak najskorsi jesteśmy naśladować.

Widzimy z dziejów obyczaju naszego, że przepych i wystawa upodobane nam były zawsze, ale to wcale co innego. Jest niezmierna różnica między wspaniałością i świetnością jakąśmy dziwili cudzoziemców, a zbytkiem jaki dziś nas trawi. Dwory królów i panów, ba małej nawet szlachty, miały swe skarbcze, drogie klejnoty, szaty wspaniałe, srebrne stopy i dostatki od święta. Ale to się powoli oszczędnością zbierało, kupowało z uzbieranego grosza zbytecznego i przechowywało od pokolenia do pokolenia. Powszednie życie było niezmiernie proste i skromne; występ miał miejsce w dniu, narodowym poświęconym pamiętkom, w uroczystości kościelnej, przy zgromadzeniach obrzędowych, gdy sobie i drugim cześć nim chciano wyrządzić. Owe uczyty o których dziś u nas tak głośno, jakby pradziadowie nasi na nich żywot trawili, były to z całego serca i duszy obchodzone święta wielkie pamiętek. Po nich w pałacu jak we dworku wracano z uciechą do płóciennego kitla, do czarnej sukni, do krupniku z półgąską i jaglanej kaszy.

Gdzie trzeba było jawnie pokazać że się nie skąpi i gotowym jest do ofiar choćby na uciechę przyjacielską... nie oszczędzono grosza, wina i przepychu; a powszednie życie szło trybem cichym i wcale nie wytwornym. Nawet po pańskich dworach jadano na cynowych misach kluski z mlekiem i obwarzaną kaszę, i barszcz nasz drogi, i kapuśniaczek opieprzony, a panie wojewodzine tak w kartunowych spodnicach z obwiązaniem głowy chodziły koło gospodarstwa, jakby nigdy jedwabów nie znały.

Po wioskach tryb zwykłego życia był oszczędny i nie wytworny, cały naród karmił się niemal jednakowo i wyjąwszy prowincjonalne przysmaki, ulubione niektórym miejscowościom, wszędzie byłeś pewny jedno zastać na stole.

Litwina prześladowano nawet boćwiną, kołdunami które mu przynieśli Tatarzy, chłodnikiem; mazura kaszą jaglaną, Wołyniaka kluskami z serem itp. Zwykle arendarz dostarczał chudego wołowego mięsa, które rozwoził na wózku po sąsiedztwie, świece łojowe robiły się w domu, baran kozucha i pieczeni dostarczał, drobiu wioska sąsiednia, ryby na piątek sadzawka pode dworem, a chleba własne pole. Kuchnia korzennych przypraw nie wymagała wiele, i skromnie ich używano; chrzan zastępował musztardę, pieprzu się nie objadano, koper stał za wanilią, jedzenie było zdrowe, dostatnie, smaczne ale nie wykwintne, a przysmaki dostępne każdemu.. Nie śniły się wówczas nikomu pasztety sztrasburskie i konserwy francuskie i angielskie pickle, bez których dziś żyć i trawić nie można...

Tak samo było ze strojem i mieszkaniem. Dwór ciepły, jak się patrzy urządzone wygodnie, nie myślał umizgać się do gościńca i facjatę sobie stroić dla oka ludzkiego, krył się w lipowej ulicy, w kątku, przyparty do ogrodu, nie czwaniąc sobą. W środku sprzęt już to dobrze jeśli kolbuszowskiej był roboty, nie z palissandrów i mahoni ale z olchy i dębu, starą fozą, nie pozorny, przecież dziś nam piękniejszym od naszych paryskich elegantów się wydaje. Jegomość spał na niedźwiedziej skórze, w wązkim łóżeczku żołnierskim, jejmość w kotarze na twardym materacu, dzieci na siennikach i słomie. Wiemy że odzież wspanialsza przechowywała się z ojca na syna przechodząc i kilku często pokoleniom służąc do uroczystości. Domowa kapota dała swe imię szaraczkowemu szlachcicowi, a na zjeździe którymś Litwa caluteńka makowego była koloru, gdyby jeden człowiek. Na codzień więc zimą kozuch był i szara-

czek, latem kitel płócienny i pas z klamrą skórzany. Jejmość w spodnicy, z głową, chustą związaną, pokryta chustą nie wstydziała się u kołowrotka siedzieć z czeladzią, i kluczków nosić u pasa. Jej także jubki atłasowe i lamy złociste, w lat dwadzieścia świeże jeszcze, dostawały się córce w posagu.

Na każdy zbytku objaw, zwłaszcza u kobiet, wołali już Kochanowski, Opaliński, ale to tylko dowodzi jak on w oczy uderzał i jak był niezwykajny, jak się zarazy jego lęcano.

Cóżby to oni z grobów wstawszy powiedzieli na nasze obyczaje dzisiejsze, na wymyślone potrzeby, na domy, stroje i stoły? Jakie by się litowali nad stanem naszym nieszczęśliwym niewolników nałogu, hołdowników mody i kaprysu?...

Od najmniejszego do najwyżej stojącego wszyscyśmy przebrali miarę w zbytku, i zropustowali się gdyby poganie. Rzucawszy wszelką pracę, nazwyczaizwszy ciało do pielęgnowania i wygódek bez końca, trwożliwi na zimno, niewytrwali na gorąco, siedziemy zamknięci między czterma ścianami drząc od strachu, aby nam nie zabrakło czegoś tak ulubionego jak starym rzymianom mureny i pawie mózgi i ptasie jęczyczki. Szukamy czemuby się jeszcze podpieścić, jakbyśmy na to zasłużyli... Z końca w koniec życie nasze to jeden ciąg używania, sybarityzmu, przemyślań o coraz nowszych rozkoszach... Obowiązki nasze spełniamy tylko o tyle, o ile się pogodzić dają z nałogami, bo o poświęceniu najmniejszej części zbytku dla nich, nie ma już nawet mowy Każdy rozumie od razu, że pan ubogiemu dać nie może, gdy za ten pieniądz potrzebuje sobie dogodzić. Nieborak umarłby bez smażonego imbiru niech więc inny kona sobie bez chleba. Wielcy ludzie są światu potrzebni.

Zbytek nie jest już występem uroczystym i wyjątkową chwilą, przeszedł w życie powszednie i stał się potrzebą.

– Panie – mówił mi z największą powagą pewien obywatel z powodu przygotowującej się zmiany stosunków włościain-

skich. – Potrzeba sobie zawarować, żebyśmy sługi mieli! Możeż to być bym ja był zmuszony w moim mozaikowanym salonie sam sobie rosół na kominku gotować?

Więc dla tego żeby pan sam, uchowaj Boże, nie był zmuszony gotować sobie rosółu, trzeba zmusić człowieka do niewygodnego mu służebnictwa i popełnić niesprawiedliwość, poświęcić zasadę, zaprzecić się prawdy! Ale zmiłujcie się... Marszałek i smakosz taki, prążący sobie rosół, w mozaikowanym salonie... czyż można do tego dopuścić! Świat by runął natychmiast!

Zbytek i znałogowienie do niego, czynią nas równie logicznymi w niejednej okoliczności, nie śmiemy przypuścić zmiany życia, trybu obyczaju, skali do której przywykliśmy, drżymy o siebie i wolemy popełnić niesprawiedliwość, niż cierpieć odrobinę... Nie mówie już o tem jak zbytek nas rujnuje materialnie, o to mniejsza, jak nas od pracy odwodzi i niezdolnymi czyni do wszelkiego energiczniejszego działania, ale moralnie upadła nas i zabija.

Nie powiadam żebyś my do barbarzyństwa powrócić mieli, i oblec się w skóry baranie, ale to co starczyło pokoleniom i wiekom czyż by dla nas zepsutych dzieci miało być za mało?

Nasz chleb czarny stracił-że swe siły pożywne, nasze mięso wytuczony na łąkach bujnych, soki któremi karmiło – stare domy nie sąż już godne byśmy pod nie wrócili, i dawne szaty by nas okrywały? Trzebaż nam koniecznie i białej bułki i ryb zamorskich i niemieckich przyprawek i marmoryzowanych pokojów i szwabskiej koszuli i sajety na codzien? A! wszystkiego bym wam dozwolił, gdyby to wszystko nie odejmowało siły, nie zniewieściło, nie czyniło z nas dzieci wieku, kosmopolitów znudzonych, ludzi bez wiary i zapału, bez energii i serca... Maluczkie to są rzeczy a wielkich przecież skutków!

Któż nie wie jaki jest związek między tem co nas okrywa, karmi i poi, a duchem który w sobie ciało piastuje?... Przeodziej

tylko człowieka i kaź mu nosić suknię nową, a przekonasz się, że i ta szmata działa na słabą istotę. Posadź go u innego stołu, naucz go jeść i smakować, przyucz przebierać i rozpoznawać, pieścić się i delikacii, ujrzysz jak powoli straci moc wszelką i zostanie sługą półmiska...

Nie darmo u nas mówiono ciągle o hartowaniu młodzieży, słowo to i rzecz kryły w sobie znaczenie głębokie. Człowiek przygotowywał się do wszystkiego i niczego nie lękał potem, życie mu lepiej smakowało, zyskiwał siły i z hartem ciała hart duszy. Potrzeba tego męzkiego wychowania młodzieży tak przez wszystkich była pojętą, że Staremu Zygmuntowi szlachta wyrzucała, iż inaczej młodego Augusta prowadził, nie przewidując, by pieszczone dziecko rycerskiego narodu rządowi poddać mogło. Dziedzice najpiękniejszych imion i najobszerniejszych majątności spędzali pierwsze lata w nowicjacie żołnierskim, często dodawani do boku wodzów na wyprawy wojenne, aby do siodła, konia, suchego chleba i niewygód przywykli. Było to niejako w tradycjach narodowych, i z razu palcami wskazywano tych co inaczej wzrosli.

Potrzeba takiego zahartowania nie wynikała z położenia kraju, którego wszyscy obywatele musieli być żołnierzami, a żywot był ciężką walką, ale zarazem z przekonania głębokiego, że *mens sana in corpore sano*<sup>\*)</sup>, a zniewieścienie wpływa i na duszę, którą czyni bojaźliwą, miękką, i do wielkich czynów niezdolną.

Znałem zacnego człowieka, który raz wżyciu popełnił błąd niski, i cały wiek bolał nad nim: niedostał obowiązkowi swojemu gdzie wytrwania i siły potrzeba było, głód, niewygody i bojaźń złamały go. Sam on później przyznawał, że paniczykowane wychowanie było pierwszą i jedyną przyczyną jego słabości. Dziś, ten brak ludzi poświęcenia, to zmalenie serc i umysłów nie

<sup>\*)</sup> *Mens sana in corpore sano* – łac. „zdrowy duch w zdrowym ciele”.

czemu innemu przypisać należy tylko egoizmowi, który wyradza zbytek i rozpieszczenie nasze od dzieciństwa. Chronią i zawijają w bawełnę, karmią słodyczami, i nie dziw potem, że z popsutych dzieci złe wyrastają obywatele.

Zbytek czyni nas zależnemi, wyradza nałogi, zwiększa potrzeby, a w końcu sam umysł przyzwyczajają do zapatrywania się na świat z ciasnego stanowiska prywaty, z którego nic prócz siebie dojrzeć niepodobna.

Dzisiejsze życie i obyczaj, porównane do dawnego, rażą zbytnictwem niesłychanem. Dom ubogiego szlachcica urządzony jest i utrzymywany na taką stopę, na jakiej nigdy nie stał nawet pański w dawnych czasach, powszedni żywot zjada, to co na wielkie razy zachować się było powinno. Zamiłowanie w zbytku nie ma nawet wymówki w upodobaniu piękna, gdyż po większej części błyskotliwy sprzęt nasz jest bez artystycznej wartości, drogo przepłacane fraszki świecą się tylko świeżością, a głupia moda przynosi je i wyrzuca.

Dawniej też była pewna wiara i rachuba rozsądna, która, choć szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie, nie dopuszczała mu współzawodnictwa przepychu i zbytku ze starszym bratem. Dziś wszyscy żyją niemal jednakowo i jeśli jeden niedorzeczność popełni, drugi go pewnie naśladować nieomieszka. Żle zrozumiana równość wiedzie do ruiny, i nikt nie chce swoją się piędzią mierzyć, mając za srom być uboższym od kogoś, nikt nie pojmuje że godnie noszone ubóstwo daje blask jakiego żaden nie okryje dostatek. Wstydzą się tego, czem by się pochłubić mogli.

Zbytek to wyrodził największą plagę społeczną dzisiejszych czasów, komedię w życiu, i kłamstwo nieustanne. Udajemy bogatych, choćby z ofiarą przyszłości, udajemy wysoko urodzonych, udajemy wreście oświeconych ludzi, i ten snobizm rujnuje nas i upadla.

Nic niebezpieczniejszego nad fałszywe położenie, nic świętszego nad prawdę! Człowiek który raz słowem lub czynem, postawą czy kieszenią skłamał, wchodzi na drogę, której nie widzi końca, i niedomyśla się skutków. Radby później zatrzymać się, lecz musiałby w pokorze przyznać do fałszu, a mało jest ludzi coby na to siłę znaleźli. Brnie więc dalej i dalej ku ruinie materialnej, ruinie ducha, i pada ofiarą często jednej nieopatrnej chwili próżności.

Nie mamy wstydu gdzieby go mieć należało, nie sromamy się wymawiać od najświętszych obowiązków; a fałszywy wstyd ubóstwa, pochodzenia, stosunków, krzywi nam i paraliżuje życie całe.

Nie ma już dziś tych wielkiego znaczenia ludzi, co mimo ciężkiego położenia i niedostatku w domu, mieli szacunek i poważanie powszechne, co w prostej odzieży wytartej rozkazywali aksamitom i złotu, bo nikt nie czuje się zdolnym walczyć z przesądem majątkowym.

Świecidełka życia stały się dla nas tak niezbędną potrzebą, iż bądź co bądź naprzód staramy się o nie, wprzódoby nawet niż o dostojność charakteru, niż o szacunek i powagę, wprzód niż o poczciwość. Dziwnoż, że z tej słabości korzystali ludzie, że nas spętały okoliczności, żeśmy dziś udając możliwych, istotnie zubożeli i co gorzej, na duchu upadli.

Stawiając nowy dwór, nie chodzi nam o to by w nim żyć wygodnie i zaciszno, patrzym naprzód by go z traktu widać było, żeby się świecił, potem żeby miał salon okazały, żeby nie gorszy był od sąsiedniego pałacyku, a dopiero na ostatku na to, żeby było gdzie łóżko postawić. Ta komedja państwa nikogo przecie nie oszukuje, znamy doskonale jedni drugich, nasze kieszenie i interesa, ale wzajem przed sobą udajemy, żeśmy tem istotnie, czem się okazać chcemy. Straszny to już znamionuje upadek, gdy ludzie, nie mając czem więcej się chlubić, mieniem i groszem tylko dobijają się znaczenia.

Słabostka też ta więcej mówi, niż się na pozór wydaje, świadczy o tem jak nisko zesliśmy w pojęciu życia i dostojności. Nikt charakterem nie dobija się wielkości, wszyscy chcą ją kupić majątkiem. Na groszu więc stoi wszystko – niestety!

W towarzystwach nie pytamy kto jest ów człowiek i co uczynił, ale ile ma. Pytam jaka jest możliwa przyszłość społeczności, która na takiej stoi posadzie? Wierzymy tylko w siłę grosza i mienia jakby już innych potęg i działaczy nie było, a co gorsza, sądzimy, że gdzie dostatku nie ma, tam go fałszywa zastąpić może moneta.

Stary Rzym upadł zniewieściałością, moralne każdego narodu zniszczenie od niej się poczynało; w ruinach państw, których dziś imie jest zagadką, odkopujemy dziś jeszcze dowody, że zbytek je strawił i przygotował ruinę. Od szarych sukni poczynała się era potęgi, na purpurowych kończyła, żelazo zdobywało, trawiło złoto.

Widoczne to i w dziejach naszych, bo z epoką upadku razem poczyna się zbytnictwo. Im głębiej ono schodzi do klas społeczeństwa które podstawę jego stanowiły, tem bliżej jesteśmy ruiny. Z razu zbytek krzewi się tylko w pałacach, powoli od nich przelewa się do dworów i szlachty, odejmuje siłę, osłabia, zobojętnia ich jak Dalila, obcina to, w czem była potęga, odejmuje ducha, krępuje. Panowie pierwsi zbytkiem się niszczą, możliwe domy zmuszone są dla utrzymania resztek świetności sprzedawać się i kalać, z nimi naród traci wodzów, strażników tradycji i świetne gwiazdy swoje. Szlachta młoda co otaczała zbytników, z domów co dawniej uczyły cnoty spartańskiej, wynosi nałogi miękkości i rozpusty, rozszerza zarazę i przygotowuje zniszczenie. Dla wygodnego życia do którego się przywykło zrazu, poświęca się godność własną, potem poczciwość...

Jedni nie wahają się frymarzyć i żyć cudzą pracą, drudzy sumienie sprzedają... Podłością nieraz kupiona ucztą wspaniała, ostatkiem wiary klejnot który jutro wydrze rozpusta...

W latach, kończących wiek poprzedzający, patrzymy na te Sardanapalowskie\*) bankiety ludzi co jutro i przyszłość zjedli i wypili przez jedną noc szału... Lecz lepsiż my jesteśmy, i czy nas smutny przykład poprawił? Obejrzm się, porachujmy, roztrząśnijmy postępowanie nasze.

Spółeczność dzisiejszą na dwa wielkie można rozdzielić obozy: w jednym jest samo zaprzątnienie zysku i grosza, w drugim komedia dostatku i zbytek, choroba pieniędzy i zaraza rozpusty. Niekiedy dwie te słabości łącza się w jedną i pierwsza jest tylko przygotowaniem do drugiej.

Pieniądz i jego użycie, oto wieku zdanie!

Nic się na to nie patrzy, że grosz zdobywa się kosztem godności, że zbytek kupuje się ofiarą przyszłości; nie mamy jutra i surowsze obowiązki zesły nam z oczów.

Co gorsza, dorobiliśmy sobie wszelkiego rodzaju teorje do naszego stanu, teorję uytilitarną do handlarstwa i spekulacji, teorję estetyczną do zbytництва. Dziecię wychodzi z rodzicielskiego domu wszystkiego się obawiając, rachując na pieniądz tylko, wiedząc z góry, że jeśli go mieć nie będzie, trzeba choćby posiadanie udawać, bo ubóstwo hańbi i wyłącza ze spółeczności.

Przychodzą wielkie próby żywota, owe rozstajne drogi bajki, gdzie wybierać potrzeba: w prawo iść z torbami, lub na lewo w arlekińskim stroju; i na zarosłą drogę pracy, poczciwości, walki nikt ani myśli.

Gdzież bo też siły do walki owej, do Horacjuszowskiego głodu i pragnienia poetów? Jakeśmy do nich usposobieni? Dziecię miękko otulone, hoduje się w wonnych pieluchach,

---

\*) Sardanapal – ostatni legendarny król Asyrii, który przewyższył swoich poprzedników skłonnością do zbytku i lenistwa. Uważany był w starożytności za rozpustnego despotę, który podpalił swój pałac, zamordował swoją konkubinę i następnie sam zginął w płomieniach. Zob. Ryszard Przybylski, *Sardanapal. Opowieść o tyranii*, Warszawa 2001.

młodzieniec stroi się i kosztuje już życia, gdy się do niego nie wyrobił jeszcze, dojrzały mężczyzna traci smak do wszystkiego, wiarę we wszystko i zbladły wlecze się drogi ostatkiem, aby do końca tylko, wyszukując nowych wrażeń, których nie ma czem pochwycić. W dwudziestym roku wyżyty i zniszczony, człowiek nie ma dość wiary by do jakiegoś szedł celu, sam siebie czyni ogniskiem świata i w obrębach dozwolonych poświecić gotów, co go otacza, dla swej jednostki.

Jeżeli z tłumu ludzi, zaprzątńionych tą wielką sprawą używania i nasycenia, ozwie się przypadkiem głos surowszy, wzywający do opamiętania, okrzyczą go za niebezpiecznego utopistę, zarzucą potwarzą urojonych teorii, odepchną jak nieprzyjaciela. Nie trudno jednak obrachować dziś, że zbytek i zniechęć w danym czasie, strawią nas do szczętu. W poprzedzającej nas epoce jeszcze znajdowali się ludzie zdolni do poświęceń, dziś ich z Diogenesową latarką szukać potrzeba; jeśli przyszłe pokolenie tak wychowane zostanie, nie możemy się spodziewać odrodzenia moralnego, i wyrzec się potrzeba przeszłości. Rozpierzchli, rozróżnieni, bez przekonań, bez siły znikniemy, nie zasłużymy nawet na napis grobowy, własną winą... Trąd który szczęśliwych omija, lub wyjątkowo dosięga, nas obsiedzie i strawi. Małą garstką będąc nie mamy nic do stracenia, każdy dotknięty chorobą stoi za dziesięciu. Zostawmy zbytki szczęśliwym, możliwym i zwyciężkim, dla nas szata pracy, razowy chleb powszedni, twarde łoże i czuwanie. Nie podźwignie nas ani grosz, mądrze zdobyty, ani pozorna cywilizacja, ale surowy trud i powrót do starego obyczaju, do dawnej prostoty. Niemi zahartują się charaktery, pokrzepią siły, podniesie umysł i dłoń usposobi do czynu, imie odzyszcze stracony szacunek. Cóż może zastraszyć człowieka, który do błyskotek i pieśszczot życia żadnej nie przywiązuje wagi, czem go ująć, jak go pokonać? Wyróbmy w sobie nowych ludzi do nowej

epoki, twardych jak żelazo, a wytrwałych jak kamień... odrzućmy tę zradną szatę Nessusa, którą nas odziewa zachód, a przypatrzmy się jak wyglądali pradiadowie których my nie wiem czy się wnukami nazwać będziemy śmieli. Maluczko im potrzeba było do życia, ale wielkie dokonywali dzieła; nie przerażała ich ofiara bo czuli się do niej zdolni; nas wszystko straszy, rozbrojonych dobrowolnie, każdy kto chce zwycięża. . . . .



## VI.

### Przeszłość i przyszłość.

Połowa już z górą wieku upływa, którego początek widział nasz upadek; – przebyliśmy co tylko naród przecierpieć może, krwią i łzami, mogiłami i ruiną poznażyliśmy drogi nasze; – bohaterskie pokuszenia, poświęcenia i ofiary nadludzkie oznamionowały historją tych lat walki i rozpaczy; – słowem i czynem targaliśmy więzy, które na nas włożyły grzechy nasze; – i dziś, stojemy na rozdrożu niewiedząc co począć z sobą, otoczeni nocą, zachwiani w nadziejach, znużeni, wysileni, niepewni. Zgasły po kolei jedna za drugą wszystkie gwiazdy, świecące na niebie naszym, ani od własnych sił, ani od pomocy obcej nie możemy się spodziewać ratunku – chwila to stanowcza. Czy przeklniemy przeszłość naszą i zaprzemy się siebie, czy potrafimy dalej wytrwać sobą, zachowując się dla przyszłości? Mamy li jeszcze dosyć siły aby na długie może lata przechować iskierkę w popiołach?... pytanie to, podobno właśnie dzisiejsza rozwiązuje chwila, – stojemy u progu dwóch dróg, któremi zarówno pójść możemy – od ich wyboru zależą losy nasze.

W dziejach nie ma może przykładu narodu który by w pół wieku tak niestęchanie i dziwnie się przekształcił, tak wiele z siebie utracił; tak rychło przestał być całością. Opatrzność chciała nas najdotkliwiej wypróbować krając na części, z których każda innemu ulegać miała wpływowi; ztąd dziś bracia ledwie jednym tłumaczymy się językiem, pojęcia nasze różne, obyczaje odmienne, dążności przeciwne, a w łonie jednolitych

żywołów, wyrobiły się nieprzyjazne i bojujące. W W. X. Po- znańskim zkład na nas przed kilkunastą laty spłynęła filozofia niemiecka, mająca wrzкомо przetworzyć i odrodzić – germa- nizm pod pozorem cywilizacji podkopuje ostatki narodowości polskiej, w Galicji niespodzianie wyrosły rutenizm dopomina się późno praw swoich, które nieopatrzne zajętrzenie stworzy- ło... w naszych prowincjach żywioly małorossyjskie stawia się obok polskich, i zasad swych swobodą pozorną mamia tych, których zdaja się posiłkować. Wszystkiem tem razem Bóg kie- ruje, a ludzie,?... nie bardzo myślą, nie daleko patrzą, nie zbyt wiedzą co począc, i nic nie robia. Opatrzność zapewne najlepiej pokieruje rozbitym okrętem naszym, i ręka jej zastąpi nieudol- ną dłoń ludzką, ale czyż by i nam nie czas było się rozpatrzyć w swem położeniu i myśleć o zaradzeniu na nie? czyżbyśmy niepowinni wejrzeć w siebie i zdać sobie sprawę z tego czem by- liśmy, czem jesteśmy, czem jeszcze być możemy?...

Z przeszłości, niestety, same ruiny do koła, ruiny dziejów, ruiny charakterów, ruiny rodzin, stanów, pamiątek; – nigdy może naród łak rychłej nie podpadł dezorganizacji i tak szybko się nie rozłożył. Jeszcze w ostatkach panowania Stanisława Au- gusta Polska była cale odrębnym krajem, ustawami i obyczajami, pamiątkami, spuścizną średniowiecznej, ale samoistnie wy- robionej przeszłości: na tle jej usiłowały się wyrobić pojęcia, które kraj przetworzyć miały z gruntu. Nagle po upadku runę- ło wszystko i do szcztetu, martwe dziś tylko zwłoki wszystkiego, tradycje zerwane, prawa zmienione, strój zrzucony, w sercach zachwiana wiara, nawet charakter narodowy znacznemu uległ przeobrażeniu. Z pewnych względów Polska była ku temu przygotowaną w ostatnich czasach, poprzedzających jej upa- dek, na wiek prawie cały stanęła i zastrzegła w postępie, którym wprzód nieraz wyprzedzała innych, stan jej nie był odpowiedni otaczającym ją krajom, wpływ obcy, wstrzymywany długo, zalał

ją nagle, i w kataklyzmie ostatecznym zaginęły przez wieki pielęgnowane pamiątki.

O pół tylko wieku oddaleni od ostatnich obrad, ostatnich objawów życia w pełni jeszcze polskiego, jakieśmy dziś odeń daleko, jak obcy jemu! Zdaje się, że kilkaset lat dzielą nas od tej epoki, tak potężne, tak wielkie i radykalne zmiany przenerutowały kraj do gruntu. Jedne z nich siła wypadków i instytucji, drugie własna stworzyła nieopatrzność, i chwila jeszcze, a tak się przeberzemy i zamaskujem, że imię ledwie zostanie z całej tradycij przeszłości.

Smutny to zaprawdę widok tej ziemi, po których zgłiszczach jeszcze ciepłych, ruinach nieporośniętych, kilku ludzi pielgrzymuje, odgrzebując szczątki przeszłości, pytając grobów, wywołując umarłych, płacząc nad kupą popiołów, gdy reszta już ze szczątków wznosi szalasy, już frymarczy zdobyczą i baluje na cmentarzysku. A wszyscy obcy sobie i choć bracia nie witają się imieniem braci, choć jedną krwią i losem połączeni, zobojętnieli dla siebie, a każdy idzie swoją drogą, i popycha drugiego.

Po tej stypie Stanisławowskiej epoki, poczwarnej i obrzydliwej, na której hulały najświetniejsze imiona nasze, usiłując upoić się by nie cierpieć, oszaleć by nie pojmować, używać ostatków i zapomnieć o jutrze – ten widok chwili dzisiejszej, jest może najsmutniejszym. Rozbitki, płyniemy każdy w swoją stronę, każdy sobie panem bez celu, gdzie wiatry i fale poniosą...

I umysły i serca tak idą... jedne na zachód za europejską cywilizacją, drugie w tył do grobowisk martwych i kości dziadowskich, inne w objęcia nowych przyjaciół, inne nie wiedząc spełna jak i dokąd. A najboleśniesz to, że gdy spojrzemy na rozczłonkowaną całość, już w niej jednej barwy, jednej myśli, jednego języka i wiary, już w niej jednej matki synów nie poznaje-

my. Gdy dziś tak jest cóż będzie jutro?? – Jutro – nie chcę być prorokiem, – jutro może zostać tylko imię, i za drugie pół wieku, jeśli tak pójdziemy dalej, przeszłość będzie dla nas złotą legendą, a między nami a nią pęknie święty węzeł, który nigdy zrywać się nie powinien.

W pierwszym szale boleści wolno było popełnić błędy, – któż by je śmiał wyrzucać ludziom, co przecierpieli tyle? Dziś, gdy cierpieniem zdrętwieliśmy i przywykli do niego, czyżby nie czas opatrzyć się i jaśniej zajrzawszy w siebie, coś na nie poradzić. Rzućmy więc chłodnym okiem lekarza na nasze rany i blizny. Wszelki żal i wyrzekanie nie na dobie, co los i ludzie zrobili, nie jest naszą winą, upadek pod przeważną siłą nie hańbi, dość było rozpaczliwego. miotania się i porywów bezsilnych; dziś na to co jest radzić potrzeba chłodniej, spokojniej, rozumniej, nie tem słowem które jakiemuś po radę doń uciekającemu się polakowi rzucił pogardliwie Thiers, mówiąc: Zbierajcie pieniądze... boć żydom ich miliony nic dotąd na wygnaniu nie poradziły; – ale czemś lepszem i potężniejszym nad taką rachubę... Rozpatrzyć się potrzeba w położeniu naszym, zbadać siły, przyznać do grzechów i pobudzić w sobie wielkiego ducha, wiarę wielką, poszanowanie przeszłości wielką i niezłomną nadzieję, potężną i niezłomną wytrwałość. Jeszcześmy w tem rozbiciu tracąc wszystko, nie zgubili najświętszej spuścizny ojców: religii i języka... To dwoje ratować nas może i powinno; zerwana nić podania jeszcze się związać potrafi, trwa jeszcze iskierka ducha, są materiały odrodzenia; woli tylko i kierunku braknie. Rozstrzeleni, rozbici, błądzimy dziś każdy z osobna, w niepewności i zadumaniu, więcej się zaprzatając osobistą sprawą niż powszechną. Zgasł w nas popęd do ofiary na korzyść ogółu, ustała solidarność stanów, ludzi i prowincji – to jest dziś może największe zło, na które poradzić potrzeba. Nikt nam nie zabroni w granicach legalnych, bez pokątnych spi-

sków i knowań, które do niczego nie prowadzi, otwarcie i uczciwie bronić tego, co dla nas najdroższem – jest to potrzebą, obowiązkiem, koniecznością.

W dziejach świata nie pierwszym jesteśmy upadającym narodem; wiele przed nami nietylko państw ale narodowości silnie wyrobionych zgasły i znikły, ale wieki w których zaszły te wypadki, epoki panowania siły bezmyślnej i bezprawnej, wielce różne były od naszego. Dziś zarówno podbijający jak podbici, mocni i słabi mają nad sobą ideę prawa wiekuistego i zakon Chrystusowy, którego się zaprzec nie mogą. To nasze położenie upewnia i zbroi... Prawo ogólne narodów stosuje się zarówno do zwycięzców i zwyciężonych; państwo podbijające ma władzę nad zdobytymi ale w pewnej mierze ogranicza je prawo Boże, idea sprawiedliwości, przyjęte wieku pojęcia i prawdy niezachwiane które z religii weszły w politykę i stosunki narodów. W obronie całości, granic, bezpieczeństwa swojego, spokoju, pan i zdobywca może karać i wszelkich godziwych używać środków dla zachowania, ku obronie; ale są rzeczy święte, rzeczy Boże, których dotknąć nie dozwala mu prosta nawet logika, bo za naruszenie świętości mści się logiczna zawsze historia. To co drogiem jest dla wszystkich zarówno, najszacowniejszem dla każdego człowieka, stanowi skarb narodu podbitego i tego, któremu Bóg dał losy jego w ręce; – nie szanując świętości cudzych kła swoje i burzy zasadę własnego bytu. Prędzej lub później naruszenie zasady uczuć się dać musi.

Świętokradztwem byłoby targać się na wiarę, na język, który jest darem Bożym i świętością, na obyczaj, obojgiem wyrobiony przez wieki. Tu siła i przemoc nic nie mogą, a beczeszczą tych, co się do nich uciekają. Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa kropla krwi męczeńskiej była nasieniem nowych męczenników, tak dziś wszelkie pokuszenie się o zagładę wiary i języka, nową w nie wlewa siłę i zbroi potęgą.

*Une nation, n'est qu'une langue*<sup>\*)</sup>), powiedział de Maistre, a Ożanam wymownemi słowy zaręczył że póki trwa język, nigdy o narodowości rozpaczać nie należy. Wyżej jeszcze dla nas stoi wiara, którąśmy dziewięć wieków żyli, przez którąśmy się wykształcili, którą przesiąkły instytucje nasze, która nie jako narzędzie polityczne, bo na to używać się jej nie godzi, ale jako prawda Boska, prawda jedyna – opuszczać nas nie powinna. Tą wiarą, tym duchem mocni jeszcze jesteśmy, w niej nam trwać i umierać potrzeba. Miejmy ją tylko czystą, wielką, gorącą, a reszta wedle słów pisma dodaną nam zostanie, ona wleje ducha, ona opatrzy siłą, ona zjednoczy rozpierchłe, ona złączy rozprószone, ona podniesie nas nad maluczkie zaprzątnienia chwilowe, a da nam dojrzeć co wielkie, nieśmiertelne, co dla nas prawdziwie ważne i potrzebne.

Kiedym tu po dwakroć wspomniał dziwując się zmianie jaka w nas zaszła od pół wieku, jeszczem napomykając o tem, nie mógł dać pojęcia, jak w istocie jest wielką i radykalną. Polska nawet w XVIII. w. za panowania Stanisława Augusta, wśród tej orgij bolesnej od której oczy odwracają się ze wstrętem, była jeszcze tak różną od dzisiejszej, iżby się dziadowie wstawszy z mogił, do wnuków swoich przyznać nie chcieli. Najzepsutszemi były w niej, niestety! – klasy na czele narodu stojące, dotknięte filozofią materializmu, zarażone w obyczajach zbytkiem i rozpustą, zobojętniane dla narodowości, nie pamiętne na jutro, i z penatami swemi jak szczury z młyna uciekające na wszystkie strony. Były i tu wyjątki piękne, ale ogół nawet dla oczów najbardziej uprzedzonych, nie może się obronić zarzutowi upadku moralnego. Siły narodu były gdzieindziej. Cały kraj w przeszłości żył szczególnież życiem wiejskiem, ono stanowiło tło, dawało barwę, przetwarzało nawet miasteczka, które

<sup>\*)</sup> *Une nation, n'est qu'une langue* – „Naród jest tylko język” – znana maksyma Josepha de Maistre’a (1753–1821), sabaudzkiego filozofa politycznego.

u nas z ciężkością się wznosiły, bo je wiejski przeważny żywioł zalewał i pochłaniał. Szlachcic zmuszony wbiegał do miasta i uciekał z niego co najrychlej jak z gorącej łaźni, chłopek nie przerabiał się na mieszczanina, ale raczej na szlachcica, mieszczanin bogatszy szukał szlachectwa i kłamał je sobie; – żywioł miejski był żydowski i niemiecki, a co doń przyrastało krajowego, nie z lepszej pochodziło warstwy. – I dziś jeszcze wieś stanowi kraj, miasta nie rozwijają elementu narodowego naszego, przybierają łącno obcy. Ztąd ta miłość wsi u wszystkich, bo wieś była siłą, a szlachcic który w niej rządził, piastował w sobie tradycje, i w nim głównie biło tętno żywota polskiego.

W ostatniej epoce gdy arystokracja niemal cała zfrancuziała, i bezsilna śmieszności swe i rozpusty woziła po wszystkich stolicach Europy – na wsi jeszcze mieszkaly stare cnoty, i gorzała święta iskierka przeszłości. Tu jeszcze nie wygasła idea poświęcenia, ofiary, – ale sterników jej zabrakło. Dawniej szlachcie sterowała ta starszyzna i ci senatorowie, którzy łódkę państwa wiedli do jaśniej dojrzanego celu; – w ostatniej chwili nie majtków ale dowódców zabrakło. W historii upadku i bezsilnych naszych pokuszeń podźwignienia się, zapisane są imiona wierne i zacne, co nie sprzeniewierzyły się do końca; co było najgodniejszego, najpocziwszego, upadło z mieczem w rękę, rozpierchłe, rozpaczone, oszalałe.

Każdy taki poryw heroiczny kosztował nas więcej daleko niż się zdawało, wybierał nasienie przyszłości. Upadek dzisiejszy winniśmy nie tyle prześladowaniom i uciskom, jak raczej świętym, pocziwym, bohaterskim, ale nieopatrznyim pokuszeniom w które nas boleść rzuciła, a cierpienie nad siły, popchnęło.

To co się uchroniło po kątach, mniejszej było wartości, i nie wiele zrodzić mogło dla przyszłości. W pierwszych chwilach i za grzech nam tego poczytywać nie można, bo błąd był boha-

terski, zleśmy pojęli położenie nasze. Zdawało się nam, że zwyciężeni siłą, siłą powinniśmy straty odzyskać, zapomniawszy, że w sprawie ducha, najgorszą ucieczką jest odwołanie się do barbarzyńskiej siły pięści. Sprawa nasza, posłannictwo, znaczenie, nie były wedle ciała, ale wedle ducha, i ilekroć też uciekliśmy się do pięści, zgnieciono nas mimo olbrzymich wysiłków, traciliśmy ludzi przynajdroższych dla przyszłości, a nie zyskiwaliśmy nic oprócz mogił, które dziś łzami oblewać musimy. Może dopiero teraz rozpatrzywszy się w położeniu naszym, jaśniej widoczna żeśmy tu pobłądzili niezmiernie; w sprawie ducha, na duchu się zbroić i wzmacniać, duchem walczyć, olbrzymieć i dźwigać się i działać było potrzeba. Czemu żaden oręż nie podoła, byłaby siła ducha zaradziła; nieuniknęlibyśmy może męczeństwa, ale krew ta byłaby płodną. Tym czasem w pokuszeniach rozpaczy samiśmy najdroższe skarby nasze na łup oddali, i zostaliśmy bezsilni. Nie jedno z tych serc, co bić przestało pod Raszynem, Maciejowicami, Pragą, Grochowem, Ostrołęką, itd. poniosło z sobą do mogiły iskrę, tchnienie, świętych podań przekaz, których nic dla nas nie odrodzi.

Tak powoli, gdy z jednej strony dobrowolnie francuziała i kosmopolityzowała się starszyzna, nie bacząc na wielkość i ciężar powołania swego, i wyrzekając się go, aby użyć chwili, paląc jak Sardanapol na stosie namiętności, gdy z drugiej poczciwa szlachta ginęła mrowiem z orężem w ręku – same resztki i niedobitki przeszłości, w drżących dłoniach świętą, maluczką iskrę ognia do nas przeniosły. Dla tego tak okrutnie przetworzyły nas lata nie długie, dla tego dziś, gdy do nas głos z mogiły ojców przemówi, już go nie rozumiemy, a niema nam go komu tłumaczyć; dla tego dziś jedni chcą byśmy głosu tego nie słuchali, drudzy znów od mogił odstać nieumieją i z umarłemi się grzebią, szukając dobrowolnej śmierci.

I spojrzmy na tę społeczność dzisiejszą, a porównajmy ją choćby do tej, która w początku wieku zardzewiałe włóczyła

szabliska po brukach stolicy. Możemy gorsi, może lepsi, lecz jakże odmienni! Wszystko zgorzało w wielkim pożarze – suknie i duch, wiara, język, oblicze, a ci co piastować byli powinni ostatki, porozdzielali się dobrowolnie i oddali na tandetę relikwie. Nie powiem, żeby na nas tyle podziałał ucisk, bo ten miał w sobie samym siłę oddziaływającą; prześladowanie wyradzało bohaterski upor i rodziło męczenników, niesprawiedliwość każda, względem nas popełniona, wypłacała się nam skutkiem celowi swemu przeciwnym, opieka opatrności, która staje w obronie bezsilnym – myśmy raczej sami starli z siebie znamiona i pod pozorem postępu i cywilizacji przestali być sobą.

W klasach najwyższych i najchciwszych europejskiej ogłady, nieopatrznie cudzoziemskie wdziwiających szaty, w tych dawniej piastunach tradycji, wodzach ruchu i czynu, najsilniej i najwcześniej czuć się daje bolesne dla nas wynarodowienie. Synowie ojców, co piastowali najpierwsze w kraju urzędy, nie rozumieją języka, którym mówili ich dziadowie, obyczaj równa ich z bracią kosmopolitami wszelkich krajów, wszędzie im równie dobrze, byle używali, a może wszędzie lepiej niż w kraju, gdzie co chwila jakimi wyrzutami przemawia do nich przeszłość. Posłannictwo swoje abdykowała dobrowolnie arystokracja, wyrzekła się go i poszła służyć spekulacji, sztuce, lub obcym panom i krajom. Dziś obwiniają niemal wszystkich piszących o nastawanie na panów, o waśnienie klas społeczeństwa, które z sobą w jedno i zgodzie zostawać powinny, ale któż temu winien że pochwalić nie można co złe i szkodliwe. Wyście pierwsi wyrzekli się misji swojej, ubożuchni ludzie słowa musieli ją za was dźwigać, a szukając szczątków przeszłości do odbudowania gmachu, nici do powiązania jutra z dniem wczorajszym, już do was po nie udać się nie mogli – musieli w tych warstwach społeczności szukać żywiołów narodowych, gdzie się one jeszcze znajdowały, u szlachty i u ludu. Samiście nas

uczynili nieprzyjaciołmi arystokracji, Polakami być przestając. I niemówcie, żebyście ulegli sile, i żeby was do tego zmuszano; w waszem położeniu, przy stosunkach, przy rękojmi, jaką wam dawały majętności, rządy was za rewolucjonistów wziąć nie mogły, byłyby poszanowały w was polaków, gdybyście niemi być chcieli. Gardzono wami gdyście przeszłości waszej wyrzekali się, daremnie dworując terażniejszości; byliby skłonili głowy z poszanowaniem, gdybyście posłuszni prawu ustanowionemu, ale wierni sobie, usiłowali przynajmniej pogodzić i potrzeby czasu i przewagę siły, i to coście imieniowi i posłannictwu swojemu byli winni.

Dziś obejrzcie się na żniwo wasze i powiedzcie mi coście też zyskali? Coście ocalili dla siebie? wiele jest imion niepokalanych? osób coby istotnie godne były nazwisk, które otrzymały w puściznie? – wielu z was jest jeszcze polaków? Nie chcieliście, nie próbowaliście nawet godnie i uczciwie obowiązków dawnych pogodzić z wymaganiami nowemi; a jednak, sadzę że gdybyście byli choć spróbowali, wytrwale, cierpliwie, bez borykań i dąsów, obstać przy tem co nam prawa Boskie i ludzkie zapewniały, bylibyśmy więcej niż dzisiaj jest, zachować mogli. Tu dla nas wielkim przykładem być mogą prowincje Rossji nad-bałtyckie, których cała przyszłość jest jeszcze w ich ręku, bo nic nie roztrwończyły na próżne miotania się, a potrafiły w całości przechować co miały najdroższego – wiarę, język i obyczaj. – Ale tam gdy szło o świętości, nie wahał się wystąpić stary Pahlen i powiedzieć prawdę. Ilekroć pokuszono się o wiarę i język, nie chwyтали się do broni, bezwładny tylko opór pokorny ale niezwyknięty stawili przeciw naciskom, w ostatku starszyzna ich za jedno trzymała z narodem. Myśmy zawsze albo chwyтали się broni lub zwyciężeni liczbą i siłą, poddawali ulegle, nie śmiejąc o nic dopomnieć, przy niczem stanąć, nic sobie zastrzedz i zachować. Poświecenie bez granic, lub bez granic

spodlenie i rozpacz, doprowadziły nas do tego stanu, w którym dziś jesteśmy. Zimnej krwi, wytrwania, poszanowania siebie, wiary w siłę naszych świętości nam brakło. Wszystko nam też powoli odjęto, nic nie pozostało prawie, a dziś z przestachem widzimy się na drodze takiego przetworzenia, że za pół wieku... o!... ale Bóg mocen odwróci –.

Rozumne poszanowanie przeszłości nie jest i być nie powinno związane z fałszywem pojęciem że ona w całości odrodzić się może i powinna. Nic na świecie nie trwa jednostajnie prócz kamienia, we własnych dziejach widzimy postęp, rozwijanie się, upadek, przybieranie nowych żywiołów, oczyszczanie ze zbytecznych. Narody nie mogą stad w miejscu pod karą skamienienia takiego jak Chińczycy.

Są w przeszłości pierwiastki istotne, żywotne i czasowe, są piętna główne, zasadnicze i przechodnie, są skarby i niepotrzebne naroście. Myliłby się ktoby sądził że Polska powrócić może kiedykolwiek do dawnej organizacji, przeszłość jest nieodzyskaną, ale ona być może i powinna przyszłości podstawą. Nie idzie tu o wskrzeszenie tego co umarło, ale o zachowanie myśli jaka żyła w rozłożonem ciele; – myśmy, na nieszczęście, bardzo daleko od niej i słowo żywotne tradycji, klucz wielkiej tajemnicy zaginęły dla nas. Chodzimy zbłąkani szukając go, dopytując, dorabiając, próbując ażali nie przyjdzie jaki i nie otworzy nam arki.

A słowo wielkie owe, jest dla nas w wierze którąśmy, serdeczniej od innych przyjęli narodów, pojęli jako prawdę absolutną, i nią się rządzili. Na bok usuwając co ludzka tu zrządziła słabość, co okoliczności naniósł obcego, co zboczyło z drogi, w dziejach Polski widzimy ciągłą dążność i pracę do urzeczywistnienia Słowa Bożego. Polska, ta córka młodsza kościoła, późno przychodzi do grona państw chrześcijańskich, ale gorącością uczucia swego i gotowością do poświęceń płaci sownicie czas stracony.

W pierwszych chwilach po nawróceniu swoim z niesłychaną surowością wprowadza zaraz w czyn naukę Chrystusową i prawa kościoła, dla nich wyrzeka się współczucia reszty słowiańszczyzny, którąby łatwo przygarnąć mogła, i od tej wielkiej ofiary dzieje swych poświęceń rozpoczyna.

W instytucjach zarówno się to po wierze wieku czuć daje, a słowem ostatecznym dziejów polskich jest to odległe dążenie do wprowadzenia w czyn prawdy, którą objawił Chrystus.

Aby tego dowieść, trzeba by całe dzieje przejrzeć okiem bezstronnem, uchylając co przypadkowe i ułomne, a wpatrując się w główne, nieuprzedzonym wzrokiem badacza i filozofa; my tylko kilka tu uwag rzucimy...

Widzę zawczasu już uśmiech niedowiarstwa na ustach tych, co przeszłości naszej rozumieć nie chcą, lub zapatrują się na nią ze zbyt poziomego stanowiska, by kiedy wyższą w niej istotę dojrzeć mogli; – słyszę zarzuty i liczę je. Ale zapoznana przeszłość dźwiga się przedemną olbrzymim duchem, wstaje z krzyżem na piersiach, liczy blizny swe, ukazuje rany, rozdziera szaty, i widzę jasno oblicze jej święte.

Tak jest, słowem całej przeszłości polskiej, które się w dziejach nie mogło w pełni, ale musiało ułomnie i po ludzku wyrazić, – była zawsze idea wprowadzenia w czyn ewangelji i Chrystusowej prawdy. Od tego celu i posłannictwa były zboczenia cząstkowe, ale dążność i kierunek trwały do ostatka. Od pierwszego brzasku do zachodu krzyż świeci nad ziemią naszą, na piersi, na zbroi, na orężu, w księdze praw, w społeczeństwie i rządzie.

Idea ta spełnia się całkowicie, uboższe wpływy ją mącą, ale trwa i wiekuje. Ztąd owe ukonstytuowanie Rzeczypospolitej na wzór grodu Bożego, z wodzem wybranym. za natchnieniem Ducha Świętego, ztąd instytucja senatu w którym przeważnym żywiołem są naczelnicy duchowni, i owe rycerstwo z krzyżem

na piersi, którego powołaniem walczyć za wiarę, strzedz jej, urzeczywistniać prawem, swobodnem głosowaniem uchwałaniem.

Lud naówczas wedle pojęć wieku nie uczestniczył w prawach i przywilejach klass wyższych, ale też zważmy że to był wiek boju, kraj cały militarną kolonją, ciągnęła stopa wojny, a czego brakło w tym względzie w instytucjach, to się znajdowało w sercach. Pan nie był ciemniejszym poddanego, fałsz to wierutny, któryśmy na siebie rzucili, pochodzący ztąd, że to co prze wiekowało po aktach jako monstrualny wyjątek, jako zbrodnia, wzięto dziś za miarę do ocenienia przeszłości. Pan był ojcem, gospodarzem, naczelnikiem gromady. Włościanin nie miał praw, ale ich nie potrzebował gdzie była miłość braterska, stan wojny zmuszał do przywiązania go do roli, do utrzymywania go przy niej wyłącznie; ale zato nie stawiał życia codzień jak szlachcic, nie płacił podatku krwi, nie wymagano odeń poświęceń nieustannych; był kółkiem w wielkiej tej pracowni jeszcze nieusamoistnionem, ale ściśle z nią związanem. Chrześcijańska równość w obliczu Boga spajała gromadę wioski z jej panem i naczelnikiem, spotykali się w kościele, na cmentarzu, u kolebki i mogiły, u żniwa i pracy, – i zaprawdę, nie ten był stosunek co dzisiaj, gdy świętsze węzły prysnęły.

W wiekach walki inaczej ani lepiej być nie mogło.

Zresztą w wielkich działaniach na zewnątrz i w sobie, Polska szła ciągle naprzód z tą ideą ewangelji; połączenie Litwy jest może najlepszym tego dowodem. Było to zjednoczenie braterskie, jedyne w dziejach, dobrowolne, w którym Polska wszystko swoje zdobyte wiekami oddawała siostrze, by ją uczynić sprzymierzeńcem i rycerzem na dal wspólnej idei. W wieku swym złotym, Polska we wszystkich swych instytucjach, w całym ich rozwoju przedstawia to słowo najdobitniej – później acz nie traci go z serca ni z oczów, siły jej do spełnienia zadania brak-

nie. Ostatnim może aktem ofiary bezinteresownej na zewnątrz jest oswobodzenie Wiednia.

Myśmy już sami tak zapoznali przeszłość naszą, że w obec potwarzy które na siebie rzuciliśmy, prawda dziś zdaje się apologią na niczem nieopartą; lecz odwołuje się do sumiennego wejrzenia w dzieje. Czy w nich obok słabości ludzkich, ciągły chrześcijański nie jaśnieje heroizm, nieustanny bój za Ewangelią?

Nie daremnie my jedni z całego podobno świata, zachowaliśmy charakterystyczny obyczaj stania w czasie Ewangelji, aby pokazać gotowość na jej obronę, dobywania mieczów do pól na jej poparcie.

Najważniejszą więc puścizną przeszłości jest to wielkie jej słowo, o któreśmy zapomnieli; – ono stanowi nasz skarb, naszą przyszłość całą – powrócić doń, oto zadanie nasze. Nie władamy dziś sobą, nie panujemy instytucjom naszym, lecz każdy z nas w mierze i kółku swoim, potężnie jeszcze działać może. Tu nie reformować społeczność, nie utopje budować, ale siebie każdy powinien podnieść i udoskonalić. Grono składa się z jagód, niech każda dojrzewa na słońku, a całe słodkiem będzie. Dojrzewajmy tylko wedle ewangelij, wedle wiary i prawdy wiekuistej, reszta nam będzie przydana.

Tymczasem my więcej każdy z osobna myślimy o rzeczach podzędnych, niż o głównym celu.. Społeczność nasza rozbiła się na tysiące części, każda idzie w swoją stronę, szuka czego innego, pragnie innego jakiegoś dobra, i inny doradza kierunek, gdy prawa droga tylko jedna. Nie rzucać się nam, nie targać i rozpaczać, ale pracować potrzeba nad sobą naprzód i najbliżej siebie, nie apostołować oddalonym, nie nawracać niewiernych, ale ubłogosławić siebie, siebie uświęcić i umocnić... Otwórzmy ewangelią, a w niej znajdziemy wszystko czego nam potrzeba – siłę, cel, środki i nadzieję.

Ale społeczność nasza dzisiejsza w najopłakańszym jest stanie; zamiast niebieskich i przez Boga wskazanych szukać środków, błąka się dobierając ziemskiego oręża i wyrabia w sobie siły których użycie samą ją zabić może.

Słowa Thiers'a który wyraził w nich licze zasady Orleanistowskiej epoki, utkwily w nas dziś i grozą najniebezpieczniejszym z obłąkań. Szukamy siły w groszu i bogactwie, w podniesieniu materialnego bytu, a zapominamy że jeno duchem w sprawie naszej działać można. Pojmowałbym to zaprzętnienie, gdyby zadaniem naszym było wykupienie się z zaprzędania; nie rozumiem gdy idzie o to by dzisiejsze posłannictwo nasze spełnić, to jest – obudzić poszanowanie, cześć i rozbroić cnotą i wielkością męztwa i rezygnacji. Tak wielkie nieszczęście jakie nas spotkało, nie mogło przyjść bez dopustu Bożego, bez opatrzniego celu. Bóg nas wyznaczył na ofiarę boć dał syna swojego, a gdzie chodzi o cel wielki, tam jeden naród niczem – lecz nie dał nas tylko za grzechy nasze, ani mszcząc się, bo Bóg pomsty nie szuka, ale abyśmy byli narzędziem odkupienia, ziarnem poprawy i przykładu. Włał nas jako żywioł zbawczy między obcych i rozkazał spełnić męczeńskie posłannictwo apostołów słowa swojego. Czyśmy pojęli wielkość tej misji, wysokie kapłaństwo nasze, obowiązki jakie ono na nas wkłada? nie wiem!

I dziś chyba za to karani będziemy, żeśmy nie pojęli dotąd jak wielką część wymierzył nam Ojciec nasz niebieski, jak nas postawił na świeczniku, a my się zeń dobrowolnie strącamy. Ufał w nas a wszyscy go zawiedli, bezrozumna rozpacz zabija w nas ideę chrześcijańską...

Nic się nie dzieje na świecie bez celu wyższego, musiał i nasz upadek mieć w sobie zaród jakiś dla przyszłości, – idea nasza historyczna, rozczłonkowanie i poćwiartowanie wyjaśniają to. Męczennicy powinniśmy byli krwią naszą kupić nowych sług

Chrystusowi, nie imieniem sług ale czynem. Środkiem ku temu, ani to męztwo może któregośmy dali dowody, ani wierność nasza przeszłości; ani protestacje przeciwko woli Bożej i sile przeważnej, ale takie podniesienie się moralne, taka ducha potęga, takie uosobienie w nas synów Bożych, któreby rozbroiło i czołem przed nami uderzyć zmuszało.

Tę myśl nie jednokrotnie choć nie jasno, rzucano w ciągu lat nieszczęść jakieśmy przebyli, ale nigdy nie pojęto jej tak jak było potrzeba... Zaprzątnienia ziemskie zawsze nam ja zaciemniały, a ze środków i z celu nieumieliśmy sobie jasno zdać sprawy. Mówiliśmy i mówimy sobie że nam do spełnienia naszej missji przeszkadzają prawa, ciasne granice dozwolonej działalności, a wcale tak nie jest. Bóg dając posłannictwo obzerne ku spełnieniu jego pole zostawił; to co uczynić powinniśmy, zrobić możemy: siebie ulepszyć, udostojnić, uświęcić, każdy z osobna, każdy pojedynczo, oto naprzód cel i zadanie. Niech społeczność nasza będzie świętszą, godniejszą, lepsza, niech podrośnie duchem, niech szał żalu i rozpaczy lub zdrętwienie martwe zamieni na wytrwała nad sobą pracę, a przyjdą dni oswobodzenia i wesela i Bóg wejrzy na nas. Opieranie się wyrokom i woli nie rozerwie pęt naszych, spełnienie posłannictwa podźwignie.

Trudno to gdy uczucie wzbierze w piersi, a myśli niem pobudzone tłumnie się naciskają, uszykować je foremniej i zatrzymać rozpędzone; – i my pierwszy raz jaśniej, długo w sobie chowana wypowiadając prawdę, nieumiemy jej może tak przedstawić, jakby dla niej było najkorzystniej. Nadto gorąco czujemy obowiązki nasze, zbyt nas obchodzi to jutro, u którego drzwi zamkniętych stojemy, byśmy chłodno i rozważnie uporządkować mogli, co się z nas dobywa wrzące... Ale nas pociesza przekonanie, że gdzie myśl w pełni rozwinąć się nie potrafi, tam ją uczucie zastąpi, uczucie, ten tajemniczy zarodek myśli,

który gdziekolwiek jest – pociąga i podbija. Przez nie zgadujemy światy, przeczuwamy niewidome, łączemy się z oddalonem, jasnowidzimy po nad sobą i za sobą... I nie skłamać go nikomu, choćby miał największą potęgę słowa, choćby miał największą potęgę rozumu, choćby się przyobłócił w szaty jego i wdział maskę – uczucie prawdziwe podbija i przemawia, kłamane ostudza i oburza. Ułomnie nawet wyrażone więcej ono uczyni jeszcze, niż najwykwintniej naśladowane, kiedy w niem nie ma ciepła co żywot daje. Bez niego myśl jest skeletem tylko i hieroglifem niezrozumiałym. Jak w przezroczu głoski niewiadoma myśl stoi, póki za nią uczucie ognia coby ją wyczytać dozwoliło, nie zapali.

Lata przebytych nieszczęść stworzyły nas takimi, jakiemi dziś jesteśmy, próżno tu na nie utyskiwać i szukać w nich uniewinnienia, nie widzieliśmy nigdy jasno celu przed sobą, i dla tego doszliśmy dziś do tego, że tyle ich mamy różnych. Historia prowincji, dawniej Polskę składających, począwszy od 1772 r do dni dzisiejszych, nie przedsięwzięta przez nikogo, trudna zaprawdę i smutna, byłaby wiele nauczającą. Jak się z tej średniowiecznej społeczności polskiej tak religijnej, tak do poświęceń gotowej, tak solidarnie w jedno związanej, wyrobiła ta, którą dziś widzimy? jak się zmieszały klasy, wykoszławiły idee, zapomniały tradycje, pękły węzły, wynarodowiły obyczaje, zepsuł język, a na dzień tego wszystkiego pozostała ogromna, nieprzemierzona tęsknota za przeszłością – któż to wypowie?

Przejście to tysiącem odcieni, w każdej niemal prowincji odmiennych się rysuje, historia ciekawa wielka, jedyna... W pierwszych chwilach poprzedzających i współczesnych upadkowi, widzimy dziwne jego przecucia: Skarga proroczo zapowiada niewolę dzieciom tych, co panami być nieumieli; za Jana Kazimierza wykłuwają się pierwsze idee rozbioru; – widzimy obawę ciągłą, przecucie, jasnowidzenie, a fatalność ja-

kaś krępuje i niedozwala szukać zawczasu środków zaradczych. Zbliża się wielka chwila, zdają się pomagać Bogu w jego niezbadanych wyrokach, błąd wyprzedza biedy, prześcigają się w nich najcnotliwsi; z zimną krwią spoglądają na pierwszy sygnał zagłady niemal wszyscy. Dotknięcie jedno prawicy Bożej nie ocuca z letargu, i dzieło dokonywa się w milczeniu osłupienia. Tę godzinę stanowczą w dziejach znamionują bohaterskie porywy i wyrastają z pod ziemi mężowie wielcy ale raczej wedle dziejów starych republik, niżeli wedle Słowa Bożego. Nie brak poświęcenia, krwi i ofiary, brak przejrzenia się w położeniu i doboru środków do podźwignienia się. Są co wołają głosem wielkim i językiem przerażającym na to, co się im gwałtem i niesprawiedliwością wydaje, a jest wołą Bożą, ale nie ma proroków którzyby wołali o poprawę, o pokutę, o rozdarcie szat i posypanie głów popiołem a serc ewangelją.

Wszystko to bierzemy po ludzku, po ludzku tłumaczymy, ziemskimi środkami chcemy odrobić dzieło Boże, męczennicy upadamy z *honorem*, cisnąc miecz do piersi tylko... ale nie tego było potrzeba!

Spółeczność, zarażona niedowiarstwem, zepsuta i skalana, usprawiedliwia niejako surowy sąd Boży, nigdzie tyle szalu obrzydliwego co na sejmie Grodzieńskim, nigdzie tyle rozpusty i rozpasania co w tych chwilach, przypominających stypę rzymską przed upadkiem wielkiej Romy.

Po wsiach, po zakątkach modli się szlachcic do krzyża Chrystusowego i N. Panny, królowej Polski i Litwy, ale nie wie co z sobą zrobić; nigdy sobą nie władał, stracił naczelników i dowódców, łyż ma i szable, i to oboje daje na ofiarę. Jak wyspy wśród wód wylewu stoją owe pocziwe dworki szlacheckie w których się do nas ma przechować święta tradycja przeszłości, ostatnie wzory cnót dawnych. Ale i tu zepsucie z góry przesiąka; – śmieją się pankowie z wiary, poniewierają świętości, dow-

cipkują świętokradzko; szlachcic wzdycha, oburza się, zamyśla, wpada mu w ręce tłumaczony Wolter i co w nim jest szlachetniejszego (boć wszędzie szczątkami prawdy połamanej fałsz sobie drogę toruje) zniewala go powoli, przynęca – wątpi, zachwiał się, cierpi, – milczy.

Następne pokolenia kształcą się już nie w szkołach katolickich, domowych, ale z pragnienia nauki po obcych rynkach i placach, gdzie nauki w sklepiku dostaniesz jakiej zechcesz, – jadą pomiędzy protestantów dla ukształcenia, między niedowiarków dla oglądy, między strupieszających i pogniłych szukając zarazy. Co stare wydaje się już złem i śmiesznem, sami wyśmiewamy się z siebie, w obec cudzoziemców okrywamy się śmiesznością; zamiast odziać majestatem upadku, wyrzekamy się powoli tego co najdroższe; – język cudzy nam bogatszy, obyczaj obcy dogodniejszy, suknia pożyczana piękniejsza, i życie swobodniejsze. Powoli pod naciskiem pozornej cywilizacji zmienia się z gruntu społeczność tak szybko, tak dziwnie, że dawne klęski przy tej ostatniej maleją... Nikt prawie nie protestuje; nikt nie podnosi głosu, co było zowie się barbarzyństwem, co jest wydaje się postępem, pilno nam stanąć na równi z Europą, gdy w sobie mieliśmy czem być od niej wyżsi.

Zrzekamy się skarbu dla błyskotki, Ewangelji dla Helvetiusa, kontusza dla fraka, Skargi dla Raynal'a, języka Zygmunta dla Heloizy Rousseau. W prowincjach od nas oddzielonych i w tych których losy są z naszym wspólne, po ofiarach największych następuje kryzys zwątpienia, zbezwdnienia, odrętwienia niepojęta.

Jedni i ciż sami wyprawiają bale dla przybywających generałów, i spiskują pokątnie; – oboje złe i niepotrzebne, – a nikt nie umie z powagą senatora, z zimną krwią chrześcianina powiedzieć prawdy, upomnieć się o sprawiedliwe i cierpieć godnie. Już to znak rozbratu z przeszłością, instynkt zachowawczy nas

opuszcza, nowa suknia zaledwie okrywa nas ale nie grzeje; nie jesteśmy już sobą, nie wiemy jeszcze czem będziemy. Przez nas samych wyśmiane wszystko powoli znika, a co najgorzej starej cnoty nie widzisz; jedni korzystają sobie i dla siebie z położenia, drudzy płaczą, ostatni nie czują i nie myślą... Nowe granice rozrywając związek dawny prowincij między sobą, obezsilniają do reszty, brat nie zna brata, wieści nas tylko głuche dochodzą o sobie, ani stosunku, ani solidarności między nami.

Najsmutniejszą cechą tego czasu aż do dziś dnia, jest to właśnie że każdy myśli tylko o sobie, zabezpiecza się sam to stosunkami, to pieniędzmi, to poniżeniem, a wszelkie zbiorowe a legalne działanie, wszelka spójność zerwana została. Nie mówię już o częściach kraju, ale nawet w społeczeństwie, w każdej z osobna klassie rozbrat zupełny idei i ludzi. Spiskowano często, nie umiano połączyć się nigdy. Tymczasem spisek, zmowa potajemna, są to środki zabójcze, wycieńczające zawsze, dające się najłatwiej sparaliżować, najmniej niebezpieczne dla tych przeciw którym są wymierzone, najzgubniejsze dla nas samych. Jest coś w naturze tych stowarzyszeń potajemnych przy najszlachetniejszych celach poniżającego; człowiek uczy się kłamać, musi pokrywać, stawi się w położeniu fałszywem, upokarzającym, a ogólny wpływ takich towarzystw na moralność nie jest korzystny. U nas też ilekroć podobne odkryto spółki, rzadko, o! rzadko mężstwo zamieszanych w nich wyrównywało wielkości pierwotnej idei; upadali na duchu nie przywykli do fałszu i rzadki był męczennik niezważany, idący na śmierć z pieśnią zwycięstwa.

Pokątne też te zmowy były u nas zupełnie obcym nabytkiem, towarem przywiezionym z zachodu; umysły najpocziwsze brały się na lep tajemnicy a skutkiem każdego takiego zapędu było, że kraj tracił ludzi, mogących mu być najpożyteczniejszymi.

Tymczasem reszta szła każdy samopas i w tych zamieszaniach dogasała przez wyłączenie osób idea jedności i solidarności wszystkich. Najsmutniejszym to że nawet na zjazdach i zgromadzeniach prowincjonalnych potworzyły się stronnictwa, oddzieliły opinie i zawiązały walki, jakgdybyśmy mieli jeszcze co dzielić i rozrywać, jak by się godziło szarpać samym własnymi rękami do reszty.

Na dzień tego zamętu spoczywały jeszcze dwie wielkie idee: przywiązanie do wiary acz zachwiane zrazu, ale później łaską Bożą i użytem przez nią narzędziem prześladowania rozbudzone, i gorące przywiązanie do kraju, jakiego może w dziejach świata nie ma przykładu. To uczucie święte, widzieliśmy, widzimy po latach długich odzywające się nawet w tych, co się go jawnie byli wyrzekli, poświęcili interessowi, bojaźni, chęci podźwignienia; trwa ono w piersiach zamkniętych i orderami obcemi okrytych; w tych co zapomnieli języka, co kraj opuścili, co nazwisk swoich wymówić nie potrafią może, a przeszłości nie pojmują. Jakim sposobem ta iskra przechowuje się w popiołach i gruzach, to tajemnica Boża; gdy zgasła, jeszcze ją lada podmuch, tęsknota, jakiś dźwięk przelotny, słówko, barwa, jedno nic wskrzesza i znowu do serc wprowadza...

W dzieciach rodziców apostatów, co się wiary i języka zaparli, które nigdy nie słyszały dźwięków polskiej mowy, co nie widziały nigdy naszych pól ściernistych – wszystko co wielkie, co szlachetne podbudza myśl o kraju; uczucie to budzi się niepostrzeżone, tleje niewidziane i wybucha często niespodziane. Dla tego nie odpychajmy nikogo i nie zmuszajmy do rozbratu surowością i zaparciem się; męczennicy chrześcijańscy często po trzykroć wyrzekali się Chrystusa dla bałwanów pogańskich, a potem jednak szli ochotnie na kły i pazury dzikich zwierząt, na świadectwo wierze...

Był czas że u nas nielitościwie smagano każdego co okazał słabość najmniejszą, maluczki grzech przeciw miłości kraju popełnił; – namnożyliśmy tem sobie odstępców. I tu ewangelją prawem być powinna, nie zrażać i wyklinać, ale pociągać potrzeba i okazaniem zaufania uczucia poczciwe obudzać. Na kogoż godzi się rzucić kamieniem i powiedzieć że się już nie podniesie, nie poprawi, nie zwróci?

Znałem zacnych ludzi, co tak w oplwanej chodząc sukni, wytrwali czyści i święci, i zapoznani przez swoich uczynili dobrego wiele, choć ich kamienowano dla pozorów – ale iluż jest takich, coby w sobie siłę na nieznanne i skryte cnoty znaleźli? Nie mówmy na nikogo – o to zdrajca! i Piotr przecież zdradził Chrystusa – ale obudźmy w nim żal jak Chrystus obudził w sercu Piotrowem, ale mu ukażmy co stracił, ale zbolejmy z nim i wlejmy balsam w rany jego. Często najniespodziewaniej przychodzi to uczucie przywiązania do kraju w ludziach, już na pozór zatraconych, – chwila gasi i chwila rozżega, bod czuje to prędzej później każdy, że chlubnie] być męczennikiem niż zdobywcą i dominatorem, wedle idei chrześcijańskiej, a kto się wyrzeka swoich w upadku i nieszczęściu, winien najwyższej podłości. Aleśmy wszyscy ludźmi słabemi. Bóg przebaczać rozkazał. Doświadczenie nas uczy, że szukać możemy sprzymierzeńców uczucia tam, gdzie pospolici ludzie namiętni widzą tylko zdrajców.

Największą dla nas klęską było zachwianie wiary, tak związanej z przeszłością, że każda w niej szczerba była klęską narodową, wręście jedynej prawdy która sama zbawić nas może. Wpływ XVIII, wieku przeciw któremu słabo lub niezręcznie działano, potem zubożenie, będące jego skutkiem, zaprzętnienie ideami nowymi i niby postępowymi, nareście w latach już ostatnich filozofia niemiecka, z taką namiętnością u nas

krzewiona, najwięcej nam zła przyczyniły, podkopując ideę religijną.

Ostatni Heglizm i Trentowszczyzna przez Księstwo Poznańskie przelały się do nas, i była chwila szału, w której ta nauka nowa, w sukience owczej przychodząca, chętnie gotowa została nam wiele rzeczy ze starej wiary, pochlebiająca próżności naszej, zawracała głowy i zdała się nowem objawieniem. Na tym sosie niemieckim wychowana młodzież z góry patrzyła na konieczną przeszłość i na konieczną przyszłość, z wyższością człowieka, który ma w ręku losy świata i sfinxowej zagadki słowo. Wszystko nagle, modą jakąś, przesiąkło tym zapachem hegeljanizmu, wszystko nim trąciło, kobiety popierały jego sprawę, słabi chcieli koniecznie pogodzić Chrystusa z profesorem niemieckim i dwie nauki zlepzić w jedną, co im się zdawało doskonale możliwe bo obu nie rozumieli. Mieliśmy w ostatku swego własnego w tym rodzaju sztukmistrza, który na zakaz, sto, tysiąc, krocie filozofji różnych ofiarował się dać na żądanie, dawał nam naukę rządu wedle formułki, naukę wychowania, i demonologją – mógł dać co by chciano. Wszystko to skończyło się jak wspaniały fajerwerk, ale kupa węgla po nim pozostała do dziś dnia.

Ucisk jakiego doznała wiara od nawracaczy i nietolerantów, równie z tym podściołem filozoficznym przyczyniły się do reakcji dzisiejszej na stronę religji. Zwrot idei na zachodzie nie był tu także bez wpływu, ale w pierwszej chwili zostaliśmy katolikami podobno więcej na przekor tym którzy nie chcieli byśmy niemi byli, nizeli z przekonania i dusznej potrzeby. W tem grzech nasz znowu, bo religja nigdy narzędziem być nie powinna, a jako instrument użyta mści się za znieważenie swoje... Jakim sposobem wyszliśmy z błędu filozoficznego który przez lat kilka tak straszliwe przybierał rozmiary, a przeciw któremu

tylko X. Hołowiński<sup>\*)</sup>, Chołoniewski<sup>\*\*</sup>) i kilku ludzi, lepiej rzecz pojmujących i dalej poglądujących walczyli powolnie, wie tylko Bóg co nas podźwignął. Nie bez tego żeby ślady nie zostały, i w innym kierunku popadliśmy w tyranją ultramontanizmu przesadzonego, który wielu zjednał zwolenników. Dziwna zaprawdę, że filozofia i ultramontanizm jedno miały gniazdo: W. X. Poznańskie.

W prowincjach naszych jeszcze przed owym filozoficznym ruchem hegeljanizmu, wpływ Uniwersytetu Wileńskiego, z innych względów najwyborniejszego ale pozbawionego kierunku i dążności katolickiej, wiele się przyczynił do zubożenia dla wiary. Jakkolwiek szanowano tu pozory i nie walczone otwarcie, całość nauk była wykładaną w duchu, kościoła dogmatom przeciwnym; – medycyna, prawo, nauki przyrodzone obalały to co wykład religii miał gruntować, a że młodzież łacniej w jakiejś wyższości krytyki szuka żaru pochopnego, niżeli się poddaje pod jarzmo, lgnęły umysły raczej do drwinek Capellego<sup>\*\*\*</sup>), niż do katechizmu X. Borowskiego<sup>\*\*\*\*</sup>). W Krzemieńcu naucza-

---

\*) Ks. Ignacy Hołowiński (1807–1855), polski duchowny rzymskokatolicki, rodem z Owruca na Polesiu, arcybiskup mohylewski, profesor Uniwersytetu Kijowskiego, potem Akademii Duchownej w Petersburgu. Świecenię kapłańskie przyjął w Łucku 25 września 1830 roku.

\*\*) Ks. Stanisław Chołoniewski (1791–1846), polski duchowny rzymskokatolicki, autor romantycznych „opowieści niesamowitych” (m.in. *Sen w Pohorcach*, Wilno 1842).

\*\*\*) Drwiny Capellego – celowe mieszanie pojęć i używanie drwiny zamiast argumentu.

\*\*\*\*) Kasper Borowski (1802–1885), polski duchowny rzymskokatolicki, biskup łucko-żytomierski, potem płocki, profesor Akademii Duchownej w Wilnie i Petersburgu. Wywieziony w 1869 r. do Permu w Rosji. Autor katechizmów wydanych pod pseudonimem X. Chwaliboga: *Katechizm mniejszy przez X. Chwaliboga* (Wilno 1860) i *Katechizm rzymskokatolicki, czyli nauka chrześcijańska przez X. Chwaliboga* (Żytomierz 1860). Zob.: Krzysztof Rafał Prokop, *Sylwetki biskupów łuckich*, Biały Dunajec–Ostróg 2001, s. 178–182.

nie nie miało głównie na celu ukształcić katolików, wyrabiało raczej obywateli; ztąd też głębokiej nie wnoszono wiary, ale nikt jej przynajmniej nie tracił, gdy w Wilnie, znałem niestety! i księży co suknię nosili duchowną, a uczucia byli pozbawieni przez uczęszczanie na wykład historii, prawa, literatury... Uniwersytet Warszawski nie wywarł takiego wpływu na młodzież, chociaż i tu kierunek religijny nie był na dobie, a nauki i literatura najgłówniej zajmowały.

Hegel<sup>\*)</sup> i Trentowski<sup>\*\*)</sup> mimo niejakich przeszkód ze strony cenzury w Rossji, nawet gorących i licznych znaleźli zwolenników, aż do kobiet jakem powiedział wyżej. Hegel nie tyle dla nas był niebezpieczny; mniej przystępny, wymagał pracy wielkiej; Trentowski popularniejszy nieco, wiele ludzi popsuł, a dość było dla obałamucenia przeczytać jego *Chowanę* która w swoim czasie zachwycała, i pozornie szanując wiarę jak nieznaną staruszkę, w istocie z gruntu ją wywrócić usiłowała. W W. X. Poznańskim gdzie cała prawie młodzież wychowywała się w Berlinie, słuchała Hegla, Rosenkranza<sup>\*\*\*)</sup>, Micheleta<sup>\*\*\*\*)</sup>, i Gans'a<sup>\*\*\*\*\*)</sup>, wychodziła duchem niemiecka, postępową niby, najlepszych chęci, do najgorętszych poświęceń zdolna! ale zupełnie nie polska; – katolicyzm był dla niej zużytą średnio-wieczną formułą. W Galicji gdzie się ta zaraza szerzyła także powoli, ale nie wzięła głęboko, że rząd był katolicki, religja

\*) Georg Wilhelm Friedrich Hegel (1770–1831), niemiecki filozof, twórca nowoczesnego systemu idealistycznego.

\*\*) Bronisław Ferdynand Trentowski (1808–1869), polski filozof i pedagog, mesjanista, wolnomularz.

\*\*\*) Karl Rosenkranz (1805–1879), niemiecki filozof, jeden z najwybitniejszych uczniów Hegla.

\*\*\*\*) Karl Ludwig Michelet (1801–1893), niemiecki filozof, historyk filozofii. Położył zaślugi w upowszechnianiu, bronienu i rozwijaniu filozofii Hegla.

\*\*\*\*\*) Eduard Gans (1799–1839), niemiecki filozof i teoretyk prawa; uczeń G. W. F. Hegla i wydawca jego dzieł.

przeciwko niemu narzędziem opozycji być nie mogła, nie wzięto jej do serca. Bolesnem raz było dla mnie usłyszeć przybyłego ze Lwowa obywatela, który zapytany o stan religijny kraju, odparł mi obojętnie: – E! my nie jesteśmy gorliwi, co innego u was, nasz rząd katolicki. Jak gdyby tylko jako narzędzie opozycji wiara była przydatną, jakby ona zawsze i wszędzie nie była jedyną prawdą i drogą do wszelkiego celu!

Zresztą, nie obwiniajmy ani instytucji ani ludzi o ten upadek religijnego ducha u nas, – współcześnie i równolegle z całą Europą przechorowaliśmy na tę epidemię i razem z zachodem dźwigać się z łoża poczynamy, i to moje jedyne zbawienny wpływ jakimś w tych czasach ulegli. Szkoda tylko że i tu poszli niektórzy drogą Veuillot'a\*), siejąc po drodze nie błogosławieństwa i słowa łaski ale anathemy, wyłączenie, grozę i postrach... w imię Chrystusowe! mój Boże!

Od czasu gdy nieopatrzny Krasicki\*\*) pisał monomachją swoją, a Naruszewicz\*\*\*) dowcipne z duchowieństwa stroił drwinki choć sam do niego należał, od Augustowskich czasów po dzień dzisiejszy wielka i potężna zmiana, i Bogu tylko znana dokonana środkami... Jakich narzędzi maluczki użyła Opatrzność aby nas ku sobie nawróci! Wśród zubożenia, gorzej, bo wśród wpływów przeciwnych. wśród pozostałości XVIII, wieku, ucisku, filozofii niemieckiej, przybierającej pozory postępu duchowego, gdy z jednej strony pisarze potężnych

---

\*) Louis Veuillot (1813–1883), francuski dziennikarz, popularyzator ultramontanizmu.

\*\*) Ignacy Krasicki (1735–1801), polski duchowny rzymskokatolicki, biskup warmiński, później arcybiskup gnieźnieński, poeta, prozaik i publicysta. Autor m.in. *Monachomachii, czyli wojny mnichów*, (Lipsk 1778).

\*\*\*) Adam Naruszewicz (1733–1796), polski duchowny rzymskokatolicki, biskup smoleński, a następnie łucki, nadworny historyk, poeta i dramatopisarz, tłumacz. Zob.: Krzysztof Rafał Prokop, *Adam Naruszewicz*, Kraków 2010.

talentów z całym urokiem słowa szczepią zasady obce, sami dobrze nie wiedząc co czynią – z drugiej daleko mniej utalentowani, cichsi apostołowie, bez imienia i daru, sięją powoli ziarno ewangeliczne, i słowo ludzkie ginie rozwiane, a Boże się korzeni; nasz dzisiejszy powrót na łono kościoła jest niemal cudem, ale jestli szczery i istotny?

Drogi Boże są niezbadane, poczyna się to słabo, ułomnie, po ludzku, z myślą ziemską, a powoli serce przekonane udział bierze i szczerze następuje nawrócenie. Tak i z nami będzie jeśli się tego staniemy godni, a nadewszystko jeśli tę wiarę, do której powracamy, nie jako słowo do niczego nie obowiązujące, ale jako naukę, którą w czyn wprowadzić potrzeba, pojmiemy.

Spojrzenie na dzisiejszą społeczność polską, pod względem religijnym uważaną, przekonywa nas że tu wiele jeszcze pozostaje do pragnienia, wiele do zrobienia, żeśmy już lepsi, ale jeszcze to nie poprawieni całkowicie, bo wszystkie męty, które przepłynęły po nas, zostawiły ślady swoje. Ta stara, naiwna i święta, nienaruszona nigdy pokuszeniem sceptycyzmu wiara ojców naszych, namaszczona, przejęta, łzawa, nie zdumiewająca się cudem, nie rozbierająca tajemnic, nie usiłująca dogodzić niepojętych sprzeczności pozornych, modląca się ze łzami, ofiarująca krzyż swój Chrystusowi, zaledwie jest udziałem tych, którzy na dnie społeczności postawieni, nie zostali dotknięci po wierzchu przepływającym strumieniem nieczystym – u ludu i najbliższych ludowi. W klasach wyższych więcej jest pragnienia niż czystej i gorącej wiary; wnuki XVIII. wieku, dzieci heglizmu my rozumiemy o tem, co rozumowaniem się nie zdobywa, albo się nam zda, że racjonalizm niemiecki da się ożenić z wiara ojcowską. Ale samo pragnienie i usiłowanie odzyskania wiary już jest znakiem wielkim; wiara jest darem, a dar nie przychodzi bez zasługi, a zasługą jest pragnienie dobra.

Dziś w towarzystwach naszych spotykamy niedobitki wszystkich szkół i wyraziciele prawie wszystkich systemów

i błędów, jakimieśmy ulegali; – ale ogół dąży do zjednoczenia się w katolicyzmie, jest już odwaga wyznania się szczeremi katolikami, i stawania w obronie wiary...

Zrozumiewamy powoli, że katolicyzm nie da się pogodzić i połączyć z lada czem, że z zasady jego wielkiej wypływa wszystko, a to co z innych pierwiastków wyrobiło się drogami innymi, przystać doń nie może; – zaczynamy być logiczni.

Wszystkie te wielkie, a niedawno obce nam prawdy, że formy zewnętrzne jako objawy ducha wiary, nie są i nie mogą być obojętne i że człowiek sam sobie religij jakiejś indywidualnej, nowej, ze zrywków starej czynić nie ma prawa, i przyjąć całość lub nie zwać się katolikiem, że nic nie ma do poprawy i do odrzucenia w nauce kościoła, powoli się krzewią i rozszerzają. Nie mogło to przyjść nagle i od razu, przychodzi też powolnie, stopniowo i duch spływa na tych, co się stają godnymi. Jeszcze wiara nasza ma na sobie znamiona niektóre racjonalizmu, jeszcze szuka posiłków u nieprzyjaciela, jeszcze czasem błędnie usiłuje to tłumaczyć, co tajemnicą pozostać powinno – ale się modjemy i płaczem, i znamy wartość tego cośmy utracili.

Nie łatwo odzyskać co się sponiewierało, ani odpokutować za półwiekowe grzechy, aleśmy na drodze pokuty, poprawy i gdy na nas spłynie duch miłości i zgody który sam tylko tworzy, zasiewa i rodzi, – ocaleni być możemy, bo z trojga, jak mówi św. Paweł, największą jest miłość!

Zmiana przekonań religijnych nie była bez wpływu na obyczaj, dla nas najzgubniejszego; to też od końca XVIII, wieku po dzień dzisiejszy, mijając to żeśmy kontusze pozrzucali, że nam szable odpasano od boku, że pogolono wąsy i obcięto poły – jakaż radykalna w bycie rodzinnym, w stosunkach społecznych różnica!

Gdybyśmy byli mogli i umieli zachować niezachwianą w sercach religiją, ocalilibyśmy z powodzi niejedyn skarby, dziś

na wieki zatracony. Rozróżnienie w zdaniach i przekonaniach pierwsze i najsilniej zachwiało jednością społeczeństwa, rozbiło nas, zobojętniło dla siebie, uczyniło braci obcemi sobie. Solidarność klas wszystkich, ich związek z sobą, braterstwo, znikły pod naciskiem doktryn jakim hołdowaliśmy.

Wprawdzie filozofia podawała nam równość i braterstwo jako zasadę, ale ta filozoficzna równość czysto ułudna i idealna, do niczego nas nie zobowiązywała; na drodze filozoficznej; – braćmi są tylko inteligencje parzyste, nigdy serca, nigdy ludzie. Robiliśmy, lub robić chcieli to z doktryn i rozumowań, co sercem i miłością czynić było potrzeba; czynności na oko jedne, ale duchem innym rozbudzone, w skutkach ogromnie się różnią. Braterstwo wedle Chrystusa maluczkich, ubożuchnych, słabych, upadłych nawet, nie jest tą równością filozoficzną, która w zasadzie przyznaje że człowiek równy jest prawami człowiekowi, ale postępuje z nim sobie jak z materiałem do doświadczeń bez litości, i chce go przerabiać na swoje kopyto, nie pytając o serce.

Naturą racjonalizmu jest, że się nigdy wysiłki jego zjednoczyć niemogą; – ile filozofji tyle dróg, a Trentowski najlepiej okazał że ilość filozofji i formułek jest nieskończoną, że może być stotysięcy prawdek. – a żadnej w nich prawdy. Ztąd poszło, żeśmy się idąc drogi różnemi rozbili do reszty i z jednolitej gromady na bojujące zmienili żywioły.

Niech nikt nie mówi że obojętną rzeczą była pod względem społecznym filozofia niemiecka, którąśmy się truli lat kilka. Zwolennicy jej daleko silniej przejęci duchem nietolerancji niż kiedykolwiek katolicy, odwracali się od tych, co ich błędu nie dzielili, sztydziłi z zastałych i opóźnionych, nie chcieli przypuszczać by tam być mogło światło, gdzie oni go przez swoje okulary nie postrzegali. W łonie rodzin walczyły przeciwne pierwiastki, cóż dopiero w kraju....

Do doktryny wyrabiały się zaraz i obyczaje postępowe, życie filozoficzne, a to z trudnością godzić się zdawało z starodawnem. Filozofia, czarodziejski ów wyraz postępu wypisawszy na chorągwi, nie wahała się w imię jego burzyć i rozwalać co napała, choć jeszcze nie wiedziała co w miejscu zwalisk postawić będzie mogła.

Obok naukowo ukształconych, a z głową zapaloną młokosów, którym ciemności nauki dawały pozór adeptów i jakąś pozorna wyższość; tłum naśladowców niedopieczonych, samouczków wiejskich, chwytający chciwie coś, czego nie mógł zrozumieć, durzył się i szalał najpocieszniej. Znałem niejednego takiego filozofa domorośłego, co się nigdy w życiu logiki i psychologii nie uczył, co władz ludzkich rozróżnić nie umiał, katechizmu nie znał, pisał bez ortografii, a walił ogromne rozprawy filozoficzne, i dobijał się ich druku, jako niezmiernie ważnych dla ludzkości. Stosunkowo tych nieszczęśliwie zbłąkanych samouczków, prozelitów filozofii, może było więcej u nas, niż istotnie ukształconych filozofów, którzy by swój błąd lepiej i jaśniej rozumieli, i z niego wynijść mogli drogą, jaką nań wkroczyli.

Berlińczycy reformować usiłowali społeczność formułą Heglowską, ich naśladowcy także budowali pałace z kart, przerabiając ludzkość to na falanster, to na instytut agronomiczny, to na osadę wojskową. Każdemu się zdawało że może być prawodawcą, twórcą nowych reform, Mojżeszem, Drakonem<sup>\*)</sup> a co najmniej Cabet'em<sup>\*\*</sup>) i Fourier'em<sup>\*\*\*</sup>). Jedni krajali religię nową

---

<sup>\*)</sup> Drakon (10 w. p.n.e.) – prawodawca ateński, twórca pierwszego pisanego kodeksu prawa karnego i cywilnego.

<sup>\*\*</sup>) Étienne Cabet (1788–1856), francuski filozof polityczny i socjalista utopijny. Autor słynnego cytatu: „Komunizm to chrześcijaństwo w najczystszej formie z czasów, zanim wypaczył je katolicyzm”.

<sup>\*\*\*</sup>) Charles Fourier (1772–1837), francuski socjalista utopijny.

reformą, drudzy państwo i społeczność; smutno wspominać o tych szalach, z których dzięki Bogu wypłynęliśmy ku lądowi.

Skutkiem tego Babelowego zamętu było, że ilekroć wówczas zebrało się nas więcej, jeden drugiego nie rozumiał, jeden drugiemu nie wierzył, jeden drugiego potem wyklinał.

Zapalczywa młodzież chciała już wszystkich zastałych a nieużytecznych starców wysłać na wygnanie, lub powyduszać by darmo socjalnego chleba nie jedli, i przybrała względem siwych włosów, doświadczenia i zasługi, ton jakiejś wyższości, któremu biedni ulegać musieli rodzice. W wielu rodzinach stosunek zmienił się zupełnie, ojciec słuchał, matka się w zachwyceniu dziwiła, a dzieci rozkazywały. Natchnione dziewice głosiły z trójnogów emancypacją rodzaju żeńskiego, kobiety od kolebek uciekały do pióra i z aniołów przedzierzgały się na ochmi-strzynie literatury.

Święte to i złote serca! jeżeli w błąd popadną, czyż nie myśmy temu zawsze winni? One idą za nami, gorąco pragnąc wspomagać, posiłkować, wyścigać nas uczuciem, a lada iskierka prawdy ułomnej zapala je i unosi. I one widziały tu czarowne słowo postępu, z poświęceniem rzucając się do pracy.

Tak gdy jedni w małej garstce stali przy starem a świętem, gdy drudzy przeżuwali jeszcze filozofią XVIII, wieku, gdy inni hegelizowali, a najwięcej podobno bałamucilo się snami własnej wyobraźni, biorąc je za wynik nauki, – pękło co nas jednoczyło i rozsypaliśmy się tak, że dziś jeszcze do jedności celów, trybu postępowania, kierunku, powrócić nam trudno.

Małe to na pozór ziarenko, różnica zasady, ale społeczność jednolitą być nie może, gdzie ona ją rozdziela. Wpływ różnych zakładów wychowania i ich ducha, zbliżenie do różnych narodowości, poprzerabiały całe prowincje nasze, między którem jedną nicią łącząca pozostała miłość kraju. Ale i ta różnie pojętą być musiała. Jedni przywiązywali się do idei konserwacji ślepo i upornie, drudzy zbawienie widzieli w postępie i ra-

dykalnych reformach; każdy chciał innego, i inaczej ku temu dążył.

Dziś, mniej więcej, powracamy już do przekonania jednego, a długoletnie zawody i nieszczęścia, a wielkie ofiary i bolesne straty nauczyły nas że na dobie nic więcej do czynienia nie mamy, jeno zostać sobą i zachować się przyszłości; postrzegliśmy, późno trochę, że kto chciał przetwarzać i reformować z gruntu, był nieprzyjacielem naszym, bo zachowywanie obowiązkiem, koniecznością jest wynaleźć kierunek pierwotny, wskrzesić go i dalej rozwijać. Nie możemy powrócić całkiem ani do obyczaju ani do prostoty ojców naszych, ani do formy ich żywota, wróćmy do ducha jego, upóymy się nim i rozwijamy dalej jak przez tysiąc lat rozwijała go Polska stara.

Bóg zaprawdę daje narodom siły i swobodnie później rozwijać się im dozwala, ale są wieki w których nie daje im, mocy rządzenia sobą, i kieruje małoletnimi, tak że w dziejach widoczne jest współdziałanie Boie. Zasłużyć wszakże potrzeba na pomoc Opatrzności, nie tylko cierpieniem wielkiem, ofiarami wielkimi, nieszczęściem i rozpaczą, ale świętością, cnotą, pokorą, uległością woli jego i posłuszeństwem prawu wiekuistemu, prawdzie absolutnej, ewangelji. Jeśli pragniemy pomocy Bożej, trzeba się o nią starać i ściągnąć Boga na ziemię modlitwą, łzami, świętością naszą. Bądźmy czyści i godni; upadek i położenie nasze nawet wymagają tego po nas, byśmy mężnie, prawo, szlachetnie znosili czy karę za grzechy, czy przysposobienie do posłannictwa nowego. Duch potężny niech wstąpi w serca nasze a nic go nie złamie, bo ducha nie zabija żadna siła ziemską, duch się odrodzi, a przeciw działaniu jego niema ciało oręza. Nie pieniądze więc zbierać, nie bogacić się i urządzać, nie zagospodarowywać, nie szukać doktryn nowych, ale starą wiarą i żywotem odżyć potrzeba. Niech każdy zwróci się w głąb siebie i posłucha w ciszy głosu Chrystusowego, a porówna go

z czynnościami własnymi – módlmy się i podnośmy, nie zniżajmy w ziemskich frymarkach.

Zachód uwierzył w to, że z dobrego bytu rozwija się wszystko, że to cel ostateczny, że bogactwo jest sprzymierzeńcem najdzielniejszym postępu ducha i umysłu; myśmy także poszli za tą obłudną prawdeczką, która jest przewróceniem prawdy na nich. Społeczność wedle ewangelji już, przez toż samo że się udoskonali i podniesie na duchu, dźwignie się i władz resztą, to jest reszta będzie jej dodana – poczynać od końca nic do rzeczy, bezpieczniej od tego co jest początkiem wszystkiego. Łatwo to jednym okazać przykładem; dziś potrzebujemy zakładów dobroczynnych, uregulowania prawnego tych instytucji, składek forsowanych na ubogich i t. p.; gdybyśmy wszyscy wedle ewangelji dzielili się z ubogimi, nie odpychali ich, nie byli zimni i martwi, czyżby te instytucje były potrzebne? Dziś przez prawa i zimne obrachowanie podatku na nędzę chcemy zastąpić serce i uczucie, a to są rzeczy które się nie dają niczem zamienić. Myślemy o ludzie, bo się go bojemy, a nie kochamy. Wystawmy sobie społeczność Chrystusową, gród Boży na ziemi, ludzi ubłogosławionych cnotą, żyjących w pokoju z sobą – czyż tam *eo ipso* nie zakwitnie dobry byt? Wszak ci nikt od pracy odbiegać nie będzie? nikt gnuśnie nie zależy pola, nikt trwonić nie zechce, nikt dla dobra ogółu nie odmówi współdziałania?

Gdziekolwiek rzecz poczyna się z ducha, tam z nim zstępuje wszystko, gdzie buduje się na materji tam ona przynosi z sobą wszystkie swe własności – znikomość, skąpstwo, walkę żywiołów, zniszczenie.. Widzimy dziś na Anglji przykład stanu, który za wzór stawić trudno; kwitnie handel i przemysł ale płacze uciśniona Irlandja, a Indje nawraca John Bull<sup>\*)</sup> nie apostołstwem ale mordami i pożogą.

<sup>\*)</sup> John Bull – postać stereotypowego porywczego i grubiańskiego Anglika. Stworzył ją szkocki pisarz John Arbuthnot (1667–1735) w roku 1712.

Wielu jest zwolenników Anglii, nikt dla jej rządu i polityki, stanowiącej objaw główny życia narodowego nie może mieć szacunku. Jaśniej widzące umysły już dziś przepowiadają los Tyru, Kartagi i Wenecji dumnym jeszcze władzcom prawie połowy świata... Francja ma w sobie siły, któremi się dźwignąć potrafi, bo pielęgnuje ducha i nie straciła go, bo wierzy weń nawet, gdy się go pozornie zapiera... każdy krok jej szlachetną jakąś dążnością jest oznamionowany. Ztąd między dwoma krajami dawna nieprzyjaźń i głucha walka, której żadne nie zgładzi przymierze .....



## OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” – pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wierzących w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołanie z Wołynia”. W latach 1997–2014 wydaliśmy 94 tytuły.

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!

**Dotychczas nakładem  
Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się:**

- T. 1. „Хресна Дорога”, Острог 1997.
- T. 2. Br. Adrian Waclaw Brzózka, *Milczące cienie*, Ostróg 1997.
- T. 3. O. Ян Попель, „Розмови про молитву”, Білій-Дунаєць 1997.
- T. 4. O. Remigiusz Kranc OFMCap., *W drodze z Ostroga na Kolytę* – pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i o. Józefa Mareckiego OFMCap., Biały Dunajec–Kraków 1998.
- T. 5. O. Єдвард Станек, „Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білій-Дунаєць, 1998.
- T. 6. Tadeusz Kukiz, *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej*, Biały Dunajec 1998.
- T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, *Zmartwychwstały Kościół cz. 1, Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymsko-katolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim*, Biały Dunajec 1998.

T. 8. O. Альбін Яноха OFMСар., *“Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”*, Білий-Дунаєць, 1999; O. Albin Janocha, OFMСар., *Ojciec Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)*, Biały Dunajec 1999.

T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, Ks. Michał Stanisław Głowacki *„Świętopętk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, *Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 11. Krzysztof Kołtun, *Szelest róży*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 12. С. Михайлина Алекса RM, *“Слуга Божий Архієпископ Зигмунт-Щенський Фелінський (1822–1895). Син Волинської Землі”*, Білий-Дунаєць, 1999.

T. 13. O. Андрій Зволінський, *“Ясько”*, Білий-Дунаєць–Остріг, 1999.

T. 14. O. Ієронім Варахім OFMСар., *“Духовний силует Слуги Божого O. Серафима Кашуби OFMСар.”*, Білий-Дунаєць–Остріг, 2000; O. Hieronim Warachim OFMСар., *Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby OFMСар.*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 15. Ostróg. *Ilustrowany przewodnik krajoznawczy*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 16. Ks. Władysław Knapieński, *Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 17. Leon Karłowicz, *Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 18. O. Иоанн Павел Мухарский OFMСар., *“И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 19. Галина Гандзілевська, *“Чекатиму тебе...”*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, *Sylwetki biskupów łuckich*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 21. *Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 23. *Spotkałem człowieka*. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 24. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, *Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 26. Romuald Wernik, *W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 27. Ks. Andrzej Kwiczala, *Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939–2000)*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 28. Богдан Колосок, “Кафедральні споруди Луцька. Історико-архітектурне дослідження”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 29. Maria Przybylska, *Karawana ze Wschodu*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 30. O. Ієронім Варахим OFMCap., “Апостол Церкви Мовчання. О. Серафим Кашуба OFMCap.”, Білий-Дунаець–Остріг, 2002; O. Hieronim Warachim OFMCap., *Apostoł Kościoła Milczenia. O. Serafin Kaszuba OFMCap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 31. Ks. Kamil Kantak, *Juliusza Słowackiego życie i idee religijne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 32. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kijowscy obrządku łacińskiego XIV–XVIII w. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 33. O. Hieronim Warachim OFMCap., *Karucyńska Odyseja przez Podole i Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 34. Marek A. Koprowski, *Wołyńia dzień dzisiejszy*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 35. “Старий Кривин: дослідження та матеріали з історії Південно-Східної Волині”, вступ, нарис, упорядкування Тарас Вихованець, Ігор Тесленко, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 36. *Krzemieniec*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 37. Ułás Samczuk, *Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 38. "Стародруки Речи Посполитої XVI–XVIII ст. у зібраннях Музею книги та друкарства м. Острога і Волинського краєзнавчого музею. Каталог", Луцьк 2005.

T. 39. Stanisław J. Kowalski, *Powiat buczacki i jego zabytki*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 40. *Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie parafii i dekanatów 1941–1944*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005.

T. 41. O. Kasjan Korczyński, *Katedra kijowska*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 42. Інна Шостак, "Луцько-Житомирська римо-католицька дієцезія наприкінці XVIII – у першій половині XIX століття", Біаły Dunajec–Ostróg 2005.

T. 43. Adrian Waclaw Brzózka, *Zawieszeni w czasie*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 44. Ks. Witold Józef Kowalów, *Memores Domini. Pamiętający o Panu. Wybór artykułów prasowych z lat 1998–2002*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 45. Swietłana Pyza, *Życie heroiczne i myśl ojca Serafina Kaszuby*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 46. Tomasz Kempa, *Akademia i drukarnia Ostrogska*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 47. Henryk Dąbkowski, *Polesie – moja mała Ojczyzna. Wybór artykułów prasowych z lat 1989–2000*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 48. Paweł Grabczak, *Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji w latach 1798–1842*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 49. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 1, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 50. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, cz. 2, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 51. Michał Rudzki, *Notatnik wołyński*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 52. Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*; O. Serafin Alojzy Kaszuba OFMCap., *Zapiski z Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 53. "Стародруки Речі Посполитої XVII–XVIII ст. у Волинських книгозбірнях. Каталог", Луцьк 2006.

T. 54. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 2, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 55. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kamienieccy od średniowiecza do współczesności. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 56. Teresa Tyszkiewicz, *Archipelag śladów Boga*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 57. Józef Dunin Karwicki, *Wędrówka od źródeł do ujścia Horynia*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 58. Br. Adrian Wacław Brzózka OFM, *Sny utraconej ziemi*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 59. Jan Paweł II – Йоан Павло II, *Труптик рzymski – Римський тринтих*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.

T. 60. Marek A. Koprowski, *Między Bugiem a Styrem*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.

T. 61. *Różaniec w życiu biskupa Adolfa Piotra Szelągka – Розарійу житті Єпископа Адольфа-Петра Шельонжека*, oprac. s. Sabina Irena Gumkowska CST i s. Beniamina Karwowska CST. Biały Dunajec–Ostróg 2008.

T. 62. Adam Hlebowicz, *Biło-żowta Ukrajina (Biało-żółta Ukraina)*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.

T. 63. Jan Fitzke – *Z Wołynia 1936–1939*. Biały Dunajec–Ostróg 2009.

T. 64. *Biesiada Krzemieniecka. Zeszyt 3, „Liceum Krzemienieckie 1920–1939”*. Biały Dunajec–Ostróg 2009.

T. 65. Ks. Stanisław Szczypa, *Z Żytomierza na Podhale*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.

T. 66. Дануґа Ленік – Danuta Lenik, *Зі сходу на Захід... – Ze Wschodu na Zachód...*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.

T. 67. Tatjana Jurczenko, *Duchowość misyjna kapłanów pracujących w ZSRR po II wojnie światowej*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.

T. 68. *Kalendarz «Wołania z Wołynia» 2010*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 69. Marek A. Koprowski, *Podolskie klejnoty*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 70. Ks. Władysław Bukowiński, *Historia nauczycielką życia*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 71. Ks. Zygmunt Chmielnicki, *Kartki wspomnień*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 72. Krzysztof Rafał Prokop, *Arcybiskupi halicycy i lwowscy ob-  
rządku łacińskiego. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.

T. 73. О. Ян Попель, „Розмови про молитву”, Білий-Дуна-  
ець–Острог, 2011.

T. 74. Jan Nowak, *Rekolekcje z ks. Władysławem Bukowińskim*, Biały Dunajec–Ostróg 2011.

T. 75. Marek A. Koprowski, *Od Humania do Krzemieńca: Irena Sandecka*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 76. Maria Kielar-Czapla, *Ojciec Ludwik Wrodarczyk OMI. Por-  
tret duchowy*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 77. Feliks Jasiński, *Kronika. Losy Polaków parafii Kąty, powiatu  
krzemienieckiego, województwa wołyńskiego w latach 1939–1945*, Biały  
Dunajec–Ostróg 2012.

T. 78. *Materiały do wołyńskiego słownika biograficznego*, pod red.  
ks. Witolda Józefa Kowalowa, Biały Dunajec–Ostróg 2012.

T. 79. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg  
2012.

T. 80. Anna Jakubczyk, *Rodzina Józefówki w Żytomierzu*, Biały Du-  
najec–Ostróg 2013.

T. 81. Ryszard Mieczysław Klisowski, *Wybrane wiersze wołyńskie*,  
Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 82. Stanisław Kardaszewicz, *Dzieje dawniejsze miasta Ostroga,  
Materiały do historii Wołynia*, reprint–przedruk wydania z roku 1913.  
Biały Dunajec–Ostróg 2013.

T. 83. Marek A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani  
za polskość*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Przejmująca historia Polaków mieszkających w Dowbyszu i oko-  
licy, ukazująca fenomen trwania polskiej diaspory na Żytomiersz-  
czyźnie.

T. 84. *Дев'ятниця за посередництвом Слуги Божого о. Владислава Буковинського – Nowenna za przyczyną Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Nabożeństwo za przyczyną Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego, polskiego kapłana pracującego na Wołyniu i w Kazachstanie.

T. 85. Рахела Шинделевич, *Красота, которая привела меня к Богу*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Świadectwo drogi życia do wiary w Kościele Katolickim.

T. 86. Józef Dunin Karwicki, *Jak to in illo tempore bywało. Kartka z drugiej połowy 18 w., wyjęta z papierów familijnych domu Duninów-Karwickich*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Reprint – przedruk wydania z 1896 roku. Wskazówki ojca dla syna – pisał Rzeczpospolitej, aktualne także w dzisiejszych czasach.

T. 87. Krzysztof R. Prokop, *Polscy biskupi dominikańscy*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Słownik polskich biskupów wywodzących się z Zakonu Kaznodziejskiego.

T. 88. Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Jeden z największych i najpiękniejszych utworów polskiego romantyzmu, który stanowił inspirację dla poetów, malarzy i kompozytorów. Ta powieść poetycka nazywana jest również «poematem skrajnego pesymizmu».

T. 89. O. Ryszard Stolarczyk, *Początki karmelitańskiej misji w Kijowie*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Historia parafii rzymskokatolickiej na Swiatoszynie w Kijowie napisana przez jej wieloletniego proboszcza.

T. 90. Józef Ignacy Kraszewski, *Okruszyny. Zbiór powiastek, rozpraw i obrazków*. Tom I-II., Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Reprint drobnych prac Józefa Ignacego Kraszewskiego, dotyczących Wołynia i Ukrainy.

T. 91. Romuald Wernik, *Habit i nagan*, Biały Dunajec–Ostróg 2014.

Powieść, która toczy się w czasie obrony miasta Ostroga w grudniu 1943 i styczniu 1944 roku. Dzięki męstwu o. Remigiusza Kranca OFMCap. uratowało się wielu Polaków zagrożonych terrorem ze strony nacjonalistów ukraińskich.

T. 92. Ks. Feliks Sznarbachowski, *Początek i dzieje Rzymskokatolickiej Diecezji Łucko-Żytomierskiej, obecnej Łuckiej, w zarysie*, Białe Dunajec-Ostróg 2014.

Reprint pracy historycznej ks. Feliksa Sznarbachowskiego z 1926 r.

T. 93. Józef Ignacy Kraszewski, *Rzym za Nerona. Obrazy historyczne*, Białe Dunajec-Ostróg 2015.

Akcja toczy się w starożytnym Rzymie, stolicy cesarstwa rzymskiego pod rządami cesarza Nerona. Tematem powieści są początki rozwijającego się chrześcijaństwa na terenie imperium. Powieść jest zbiorem fikcyjnych listów pisanych przez bohaterów tego utworu: patrycjusz rzymski Juliusz Flawiusz wymienia pisma z przyjacielem Gajuszem Makrem, pełniącym służbę wojskową w Galii, a jego przyjaciółka Sabina Marcja utrzymuje listowny kontakt z przebywającym w Grecji dawnym swym pedagogiem – wyzwolencem Zenonem Ateńczykiem. Innymi autorami listów są postacie poboczne: Lucjusz Helwidiusz, Sofroniusz Tygellin, Celsus Anarus i Chryzyp. Treść tej korespondencji ukazuje losy głównych bohaterów i życie codzienne w stolicy cesarstwa.

T. 94. Romuald Wernik, *Nie wrócą bociany na Graniczną. Opowieść kresowa*, Białe Dunajec-Ostróg 2015.

Autor powieści urodził się w Zdołbunowie na Wołyniu, skąd w 1940 roku został deportowany, przez okupacyjne władze sowieckie pod Archangielsk. Po „amnestii” wstąpił do 5 Dywizji Kresowej. Z Armią Polską w ZSRR ewakuował się na Bliski Wschód. W Palestynie ukończył gimnazjum Junackiej Szkoły Kadeckiej. Po wojnie przybył do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkał do śmierci. Brał czynny udział w życiu politycznym i społecznym emigracji.

**Wymienione książki można zamawiać  
pod następującymi adresami:**

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**

**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>**

**e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

**lub**



“Волення з Волині”  
 вул. Кардашевича, 1  
 35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
 Україна

**«Wołanie z Wołynia»**  
 Pismo religijno-społeczne  
 Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

To tytuł dwumiesięcznika, który wydajemy w diecezji łuckiej. Pismo to jest redagowane przeze mnie w rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Ostrogu na Wołyniu. Na łamach **«Wołanie z Wołynia»** zamieszczamy m. in. rozmaite opisy, relacje i wspomnienia dotyczące przeszłości wołyńskiej ziemi, kościołów i duszpasterzy. Celem tych tekstów jest uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa. Zwracam się do wszystkich ludzi pochodzących z Wołynia, którzy osiedlili się w różnych częściach Polski i Za Granicą, aby nadsyłali swoje wspomnienia, refleksje, spostrzeżenia lub materiały do opublikowania ich w dwumiesięczniku **«Wołanie z Wołynia»**. Mile widziane będą także zdjęcia dawnych duszpasterzy kościołów.

*Ks. Vitold-Yosif Kovaliv*  
*(Ks. Witold Józef Kowalów)*

Zainteresowanych współpracą z redakcją naszego pisma proszę o kontakt listowny w Polsce:

**Ks. Witold Józef Kowalów**  
**(Ks. Vitold-Yosif Kovaliv)**

skr. poczt. 9, 34-520 Poronin  
<http://www.wolaniecom.parafia.info/pl/>  
 e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)

lub telefoniczny w Ostrogu:  
 tel./fax +380 (3654) 2-30-38



